

M. P.  
im.  
L. W.  
w  
Łodzi

W numerze: KAROL BADZIAK *Kołobrzeg-wskrzyszona perła Bałtyku* • ZBIGNIEW WOJCIECHOWSKI  
*Meksyk w Jugosławii* • MARIAN GLINKOWSKI *Chyba dobry rok* • JOLANTA MACH *Witaj Brazylio!*  
• JAN KOPROWSKI *Co to znaczy pisać ciekawie!* • Felietony • Recenzje • Nowela

# odgłosy



12. VII. 1970 r.  
28 (660)  
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIII



Zespół Tropicales Thaitii Granda Banda.

Fot.: T. PŁASZEWSKI

TERESA WOJCIECHOWSKA

Opole 70

Nie wywróżyła im  
zazula...

Przyjeżdżających na festiwal piosenki przybyszów witał na dworcu opolskim ciepły napis: „Serdecznie witamy uczestników Zjazdu Inwalidzkiej Spółdzielczości Pracy”. Nie było to oczywiście, przemianowanie nazwy Krajowego Festiwalu Piosenki, zjazd ów odbywał się równoległe z festiwalem, nie przyćmiewając go, bo przyćmiewać nie było czego, gościnności gospodarzy opolskich też wystarczyło dla wszystkich. Tyle, że z zakwaterowaniem były trudności, można by więc przypuszczać, że dziennikarze zrewanżowali się za niewygodę bardziej niż należało krytycznymi opiniami. Ale to nieprawda. Impreza, zupełnie bezstronnie oceniając, zasłużyła sobie na krytyczną recenzję. Można z czystym sumieniem powiedzieć, że ósmy Krajowy Festiwal Piosenki był najgorszym z dotychczasowych. A ponieważ siódmy był znacznie gorszy od szóstego — rzecz zaczyna być warta zastanowienia.

Wśród monotoni i przeciętności łatwiej było zauważyć — to czego nie ma niż to co jest. A nie było: anonsowanej przedtem przez prasę (za komunikatami z Opola) Ewy Demarczyk, nie było Wojciecha Młynarskiego — dwóch asów atutowych polskiej piosenki, nie było też maratonu kabaretowego, który zdawałoby się wejść na stałe do programu festiwalu jako jedna z najcenniejszych jego pozycji, miało nie być Silnej Grupy pod Wezwaniem (przyjechali na własny koszt i wystąpili bezpłatnie). Był za to koncert ludowych zespołów pieśni i tańca, Nie mam nic przeciwko tym zespołom, cenię ich działalność, chętnie oglądam i podziwiam. Ten koncert był zresztą pięknym i barwnym widowiskiem — oczywiście tylko dla kilku tysięcy widzów w amfiteatrze, a nieciekawym dla milionów telewizorów, którzy odbierali obraz w kolorze czarno-białym, a z układów tanecznych tylko fragmenty, bo całości nie mogły objąć kamery. Ale skąd się wzięło to widowisko, tak różne charakterem od festiwalu — trudno odgadnąć. Jeśli chodziło o pokazanie prądrości inspiracji naszych niektórych zespołów beatowych, to pomysł spalił na panewce, bo zespoły te powoli przenoszą się na folklor miejski, jeśli zaś zamiarem było zaznaczenie, że będzie to festiwal zespołów, to pomysł był celny.

Niewiele przesadzając można powiedzieć, że w Opolu wygłębili soliści, wyparły ich zespoły. Dominowały one na wszystkich koncertach z wyjątkiem jubileuszowego koncertu Stefana Rachonia, który zresztą odstawał charakterem od pozostałych i dlatego może podobał się najbardziej, zwłaszcza, że

Dalszy ciąg na str. 5

ROMAN SZYDLOWSKI

## PODRÓŻ za dwie GRANICE

Ta podróż pełna była niespodzianek. Prawie wszystko było właściwie inaczej, niż przypuszczałem. Zaczęło się od drogi do Essen. Odległość niezbyt duża, pociąg bezpośredni, vsiada się w Warszawie, wysiada w Essen, radziecki wagon sypialny I klasy, ja sam w przedziale, bardzo miły „prowodnik”, serdecz-

ny i przyjacielski, na lekkiej bańce, częstuje herbatą — perspektywy znakomite. Wyjeżdżamy z Warszawy po pierwszej w południe, wieczorem przekraczamy granicę z NRD, rano mamy być w Essen. Myślę sobie: teraz położę się i wyśpię. Ale, jak to zwykle bywa, rzeczywistość biednych ludzi bardzo często ze snu budzi. Tym razem było tak dosłownie. Ledwo się zdrzemnąłem — już kontrola paszportowo-celna. Nie doliczyłem się, ile ich było. Wiem, że dużo. Przy wejściu do Berlina zachodniego i przy wyjeździe z Berlina zachodniego, na granicy pomiędzy NRD i NRF i chyba coś jeszcze po drodze. Podróż za dwie granice — wydawałoby się. A tyle tych granic po drodze. Bardzo skomplikowane są te niemieckie granice...

Ale niespodzianki nie skończyły się w podróży. Wsiadłem w Essen z pociągu, wyszedłem przed dworzec i pomyślałem, że jestem w Katowicach. Tory idą przez środek miasta, ulice przechodzą pod nasympem, naprzeciw dworca hotel. Trafiliem oczywiście bez trudu. A w hotelu recepcjonista wita mnie po polsku i dopytuje się, czy nie mam polskiej kiełbasy. Nazywa się Falkowski.

Pierwszego dnia międzynarodowego colloquium teatralnego odbywa się przyjęcie, wydane przez nadburmistrza miasta Essen. Honorują nas ogromnie. Profesor Korzeniowski siada na najważniejszym miejscu, po lewej stronie nadburmistrza. Długo i serdecznie o czymś rozmawiają, potem nadburmistrz wznosi bardzo piękny toast, w którym mówi się wiele o Polsce i Polakach. Odpowiada mu profesor Korzeniowski, podkreślając, że czas już, by walka pomiędzy naszymi narodami toczyła się tylko w sferze duchowej. Potem dowiaduję się, że nadburmistrz pochodzi z Pomorza. Twarz ma bardzo słowiańska, płową czuprynę i szeroko rozstawione kości policzkowe. Jego ojciec, lewicowy działacz z czasów republiki weimarskiej, zmarł już po wojnie w Lęborku i tam jest pochowany. Dwaj bracia zginęli w obozie koncentracyjnym, siostra wyemigrowała po wojnie do Kanady. Nie chciała żyć w Niemczech zhańbionych hitlerowskim faszyzmem. Sam nadburmistrz jest socjalistą (SPD), byłym czynnym sportowcem i stąd człowiekiem bardzo popularnym. Z zawodu jest inżynierem kolejowym i działaczem związku zawodowego kolejarzy. Pracę związkową prowadzi nadal, niez-

ależnie od swoich obowiązków nadburmistrza miasta Essen. Ale najlepsza jest puenta tej historii. Jak nazywa się nadburmistrz największego miasta przemysłowego Zagłębia Ruhry, czołowy działacz SPD na tym terenie? Nazywa się Kaczor, choć pisze się Katzor.

Mury miasta Essen oblepione są plakatami zjazdu Związku Ślązaków. Pan Katzor opowiada nam, że kiedy przyszłi do niego, by zaprosić go na tę imprezę odwetowców, odpowiedział mniej więcej w ten sposób: „Przyjść mogę, ale powiem wam prawdę w oczy. Musicie raz wreszcie wyzbyc się iluzji. Granica na Odrze i Nysie jest granicą ostateczną i nie ulegnie zmianie. A zresztą, czy wam się tu źle powodzi? Czy którykolwiek z was chciałby tam wrócić? Życie tu teraz lepiej, niż żyliście kiedykolwiek tam”. Nie wiem, czy pan Katzor był na zjeździe Związku Ślązaków i czy powiedział im to, co mówił nam, ale sam widziałem okładkę tygodnika „Der Spiegel” z wielkim napisem: „Granica na Odrze i Nysie — koniec pewnej iluzji”.

Jednocześnie ukazał się na pierwsze,

Dalszy ciąg na str. 3



Trzech zachodnich polityków zabrano ostatnio głos na temat żywo interesującej opinię publiczną: Nixon przed kamerami telewizji, Heath w Izbie Gmin oraz Pompidou na konferencji prasowej. Warto zwrócić uwagę na te wystąpienia, ponieważ są wykładnią linii politycznych trzech mocarstw zachodnich.

Wywiad Nixona był najdłuższym jego exposé politycznym w jego dotychczasowej prezentacji. Podkreślając, iż sytuacja bliskowschodnia jest niebezpieczniejsza od indochińskiej — prezydent Stanów Zjednoczonych zajął się głównie Indochinami. Przyznał, że wielu Amerykanów jest przeciwnych kontynuowaniu wojny w Wietnamie. Stwierdził jednak, że długofalowe konsekwencje wycofania wojsk mogłyby być „katastrofalne” i stanowią „zachętę” dla komunistów.

Mówiąc o paryskich rokowaniach prezydent USA zakomunikował, iż mianował szefa delegacji amerykańskiej. Jest nim b. ambasador Stanów Zjednoczonych w W. Brytanii — Bruce. Rozpocznie on pracę 1 sierpnia. Zdaniem prezydenta — mianowanie przewodniczącego delegacji jest ilustracją pragnień USA „osiągnięcia pokoju na drodze rokowań”. Zaraz jednak dodał, że Bruce nie będzie miał uprawnień, aby w Wietnamie Płd. powstał rząd koalicyjny z komunistami.

Na pytania, dotyczące zaangażowania USA w Kambodżę, Nixon dawał odpowiedzi wymijające, potwierdzając jednak różne formy pomocy dla reżimu Lon Nola.

W telewizyjnym wywiadzie prezydenta Stanów Zjednoczonych zwraca również uwagę na ocenę sytuacji na Bliskim Wschodzie, potencjalnie — jak się wyraził — bardziej groźną niż w pd-wschodniej Azji. Dlatego też Stany Zjednoczone przestrzegają „zasady równowagi sił” w tym rejonie świata. W samym jednak przemówieniu, nie mówiąc już o dobranej nam znanych faktach, Nixon odszedł od „równowagi” podejścia, ostrą atakując ZRA i utożsamiając politykę amerykańską z Izraelem.

Komentując wypowiedź Nixona „Christian Science Monitor” pisze: „Znowu miał on okazję pokazać, że w jego umyśle sprawą centralną jest powstrzymanie potęgi i ekspansji komunizmu”. Inni obserwatorzy zauważają wprost, że nie tylko w słownictwie, ale także w tendencjach polityki Nixona pokutuje okres zimnowojenny.

Dlaczego — zapytują — szafuje on znowu antykomunistycznymi formułami? Cel tego jest prosty: łatwiej wówczas pokonywać wewnętrzne przeszkody w uprawianiu militarystycznej polityki, przeciwko której opór wciąż narasta.

W exposé rządowym nowego premiera W. Brytanii Heatha — problemy indochiński i bliskowschodni nie znalazły większego miejsca. Pierwszy podjęty został w kontekście ścisłej współpracy W. Brytanii z Malajzją, Singapurem, Australią i Nową Zelandią w celu „zapewnienia bezpieczeństwa tego rejonu”, drugi zdawkowo w postaci deklaracji, że rząd jego będzie działał na rzecz stabilizacji w tym rejonie w oparciu o „bezpieczne granice dla Izraela”.

Więcej uwagi poświęcił Heath Afryce Południowej, kłopotliwej dla Brytyjczyków sprawie Północnej Irlandii, a zwłaszcza przystąpieniu tego kraju do EWG. W tej ostatniej kwestii stwierdził, że rząd zdecydowany jest uzyskać od szóstki warunki przystąpienia, które byłyby „sprawiedliwe dla wszystkich”. Osiągnięcia takich warunków — dodał — wzmocniłoby gospodarkę W. Brytanii, umożliwiając jej okazanie większej pomocy krajom rozwijającym się.

W odróżnieniu od Heatha, którego przemówienie oceniane jest jako nie wnoszące nic nowego, prezydent Pompidou dużą część swojej konferencji prasowej poświęcił problemowi indochińskiemu i sytuacji na Bliskim Wschodzie. Zwłaszcza duże zainteresowanie wzbudziła jego wypowiedź na temat sytuacji bliskowschodniej. Oceniał ją jako nieco lepszą niż przed miesiącem, czy dwoma. Położył akcent na potrzebę przedstawienia przez 4 mocarstwa wspólnego planu rozwiązania konfliktu. „Jeśli chodzi o ogólne założenia — podkreślił — to stanowisko nasze jest takie i opiera się na rezolucji Rady Bezpieczeństwa z 1967 roku”.

W innym miejscu prez. Pompidou dał do zrozumienia, że nie ma ewentualności zmiany francuskiej polityki embarga na dostawy sprzętu i materiałów wojskowych dla Izraela. Ci, którzy o to wciąż pytają przypominają nakręcających bezustannie numer telefonu, pod którym nie ma abonenta. „Mogę odpowiedzieć autorowi pytania — powiedział prezydent pod adresem dziennikarza, który zapytał go o to na konferencji prasowej — że nie ma abonenta, pod numerem który nakręcił”.

Jame stanowisko Francji w sprawie Bliskiego Wschodu, podkreślone stwierdzeniem, że czas pracuje na niekorzyść Izraela, a więc w jego interesie leży natychmiastowe zaakceptowanie pokojowego uregulowania konfliktu, odbiło się szerokim, pozytywnym echem w świecie arabskim. Jest ono przeciwstawiane wypowiedzi Nixona, o której powyżej.

W. ŚLAWSKI

● Zawszqd o wszystkim ●

## Niedwuznaczne aluzje

„WASHINGTON POST” — WASZYNGTON

Rząd Nixona zamierza uzupełnić braki w stanie samolotów odrzutowych „Phantom” izraelskich sił powietrznych, powstałe podczas działań wojennych. Napomykają o tym amerykańskie czynniki oficjalne.

Jak informuje prasa europejska, sekretarz stanu Rogers, jeszcze w czasie niedawnej sesji NATO oświadczył, że Stany Zjednoczone rozpatrują „W duchu pozytywnym” prośbę Izraela o sprzedanie samolotów typu „Phantom”.

Amerykańskie osobistości w oficjalnych wypowiedziach sugerują, iż najbardziej rozumnym podejściem do prośby Izraela o sprzedaż samolotów byłoby dostawy w formie dostarczenia w miejsce zniszczonych samolotów — nowych.

Jeśli zapadnie decyzja o sprzedaży „Phantomów” Izraelowi, to — jak twierdzi specjalista wojskowy — samoloty te mogą przybyć

do Izraela w każdej chwili.

W swoim oświadczeniu z dnia 23 marca br, w którym sekretarz stanu Rogers odrocył rozpatrzenie prośby Izraela o dostawę 25 samolotów „Phantom” i 100 samolotów „Skyhawk”, podkreślił on, że „jeśli wymaga tego sytuacja, Stany Zjednoczone mogą nie tylko natychmiast wyrównać straty Izraela w samolotach, ale również dostarczyć ich więcej”.

W roku 1968 Izrael i Stany Zjednoczone zawarły porozumienie w sprawie dostaw do Izraela 50 samolotów „Phantom”. Sukcesywne dostawy tych samolotów trwają.

Tu i ówdzie ukazały się informacje, że zarówno prezydent Johnson, jak i prezydent Nixon gwarantowali wymianę zniszczonych „Phantomów” na nowe, jednakże pogłoski te nie zostały potwierdzone.

## Dawcy za życia

„ST. LOUIS POST DISPATCH” — ST. LOUIS

Agenci ubezpieczeniowi w stanie Indiana, w USA, rozpoczęli w skali całego kraju kampanię na rzecz „funduszu” potencjalnych dawców serca oraz innych organów ludzkich, przeznaczonych do transplantacji. Agenci rozpowszechniają specjalne formularze. Osoba, która podpisze taki druczek, wyraża tym samym zgodę na „pośmiertne” wykorzystanie do przeszczepienia jednego, albo nawet wszystkich swoich organów.

Formularz składa się z dwóch kartek. Jedną — potencjalny dawca zawsze nosi przy sobie, drugą spoczywa w aktach przyszłego dawcy, przechowywanych w safesie towarzystwa ubezpieczeniowego.

Jeżeli lekarz znajdzie przy umierającym taką kartkę, telefonuje natychmiast

pod specjalny numer w Indianapolis, gdzie trwa nieustanny dyżur. Informacja zostaje niezwłocznie przekazana komisji do spraw transplantacji przy uniwersyteckim ośrodku medycznym. Stąd otrzymuje lekarz dokładne instrukcje dalszego postępowania.

W ciągu pierwszych sześciu tygodni kampanii na rzecz „funduszu” agenci ubezpieczeniowi zarejestrowali 1500 „ochotników”.

„W zasadzie nikt nie odmawia podpisania formularza” — powiedział dyrektor towarzystwa d/s ubezpieczeń na życie w stanie Indiana.

Obecnie opracowuje się instrukcje do utworzenia „funduszu” dawców w skali całych Stanów Zjednoczonych.

● Zawszqd o wszystkim ●



Od szeregu lat jestem stałym prenumeratorem waszego pisma, które otrzymywałem za pośrednictwem „Sojuzpoczta”. Obecnie po zmianie przepisów wpłat opóźniłem się z opłatą i od czerwca br. pozostaję bez tak cennego pisma.

Przeto zwracam się z serdeczną prośbą do Redakcji o stałe przysyłanie „Odgłosów” wprost z wydawnictwa na mój adres. Opłatę za pismo jako też kosztą przesyłki pocztowej na-

deścię w rublach listem poleconym.

Zainteresowanie pismem jest tak duże wśród tutejszych Polaków, których nasza wieś liczy 143 rodziny, że cytane jest, jak to się mówi, od deski do deski, na wspólnych zebraniach i znajduje się we wspólnym posiadaniu wsi.

Droga Redakcjo, może posiadać komplety z lat ubiegłych? Proszę o wysłanie ich, bo choć je prenumerowałem, jednak nie posiadam wszystkich, bo chodzą z ręk do rąk i trudno je potem złapać. Czekam dalszej wysyłki pisma — w imieniu tu tejszych Polaków, którzy tęsknią za słowem polskim drukowanym i interesują się życiem Polski oraz odpowiedzi listownej na moje prośby.

WINCENTY PASZKOWSKI  
ZSRR, Litewska SSR, rejon wileński, poczta Rzesza, wieś Gieglówka.

## POLONICA

TADEUSZ BREZA  
A FRANCJA

Prasa francuska poświęca wspomnieniu zmarłego niedawno znakomitemu naszemu prozaielowi, Tadeuszowi Brezie, Był on we Francji znany jako wieloletni radca kulturalny na szczeblu ambasady. Ponadto słynny pisarz, Paul Cazin, przełożył na język francuski dwie książki Tadeusza Brezy. „Urząd” i „Spisową bramę”. Ukazały się one w wydawnictwie Juliarda i cieszyły się znaczącym sukcesem. „Spisowa brama” była ulubionym dziełem generała de Gaulle'a (jak donosi „Figaro Littéraire”).

(W. N.)

JERZY KAWALEROWICZ przystępuje w Rzymie do realizacji filmu „Magdalena”, poświęconego m. in. modnemu tematowi malżeństw księży katolickich. Kawalerowicz jest także współautorem (wraz z Sergio Bazzinim) scenariusza do tego filmu.

(ah)

WIĘCEJ KREDYTÓW  
NA CELE KULTURALNE!

Osiemdziesięciu paryskich malarzy podpisało wspólnie afisz, żądający przyznania we francuskim budżecie państwowym większych kredytów na cele kultury. Wśród tych artystów figurują bardzo sławni, np. Sarthou, Hartung, Singnier, Pigon, Vasarely, Wogenski. Inicjatorem tego afisza jest zastępca mera w Aubervilliers, Jack Ralite, który w przemówieniu swym wykazał, jak wielkie znaczenie ma kultura dla nowoczesnego społeczeństwa. Główna propaganda na rzecz zwiększenia sum budżetowych, przyniesionych w budżecie na kulturę, rozwinięta w lipcu podczas festiwalu awinionńskiego oraz w październiku; proponowane jest zorganizowanie wielkich manifestacji w tym okresie, w całej Francji. Związki zawodowe i Narodowa Federacja Spektaklu przyłączyły się do tej inicjatywy.

NORWID  
W PRZEKLADACH  
J. PILARA

Znany i zasłużony tłumacz literatury polskiej, a osobliwie poezji, Jan Pilar, autor pięknych tłumaczeń na język czeski Tuwima, Broniewskiego, Gałczyńskiego, przygotował do druku tom przekładów z Norwida. Pilar pracował nad wyborem z Norwida pięć lat. Na tom złożył się wiersze, wybór z korespondencji, a także rysunki autora „Czarnych i białych kwiatów”. Tom zapowiada się ciekawie i stanie się on niewątpliwie swoistą rewelacją dla czeskich miłośników poezji.

(jk)

„REFLEKSJE  
KRAKOWSKIE”

Pismo słowackie „Matka Slovenska” (nr 10) zamieściło w maju obszerny artykuł pt. „Refleksje krakowskie”. Autor tego reportażu przypominając, że filologia słowacka należała zawsze do najbardziej rozwiniętych galezi slawistyki w Polsce, kreślił na tle tradycji kulturalnych Krakowa sylwetki jego twórców współczesnych. Szczególnie miejsce w tym pełnym komplementów o piśmie zajmują Krzysztof Penderecki, Ewa Demarczyk, Jerzy Harasymowicz. Tego ostatniego autor na-

zywa „księciem poezji polskiej” i zapowiada nowy tom wierszy pt. „Madonna słowacka”. Pismo informuje również, że w przekładach polskiej twórczości literackiej Słowacy mają bogate tradycje, ale dla pełnego obrazu literatury polskiej brak jeszcze najbardziej wartościowych dzieł. St. I. Witkiewicza, B. Schulza oraz poetów okresu okupacji i Powstania Warszawskiego K. Baczyńskiego i T. Gajcego.

(ab)

NASI POeci NA  
BIALORUSI

W białoruskim miesięczniku „Maladoc” (Młodość) z czerwca br. ukazała się kolumna przekładów wierszy poetów ze środowiska łódzkiego: Stanisława Czernika, Jana Koprowskiego, Igora Sikiryckiego, Tadeusza Chróścielewskiego, Macieja Józefa Kononowicza, Jana Huszczy, Romana Łobody i Marka Wawrzkiwicza. Przekładów dokonał znany białoruski poeta: Piatus Makal, Ryhor Baradulin, Nina Maciasz, Alek Łojka i Anatol Wiagcinski. Numer zawiera też fotografie tłumaczonych autorów oraz ich biografie literackie.

(jk)

„ALARM W PIEKLE”  
PO ROSYJSKU

Nakładem wydawnictwa „Prawda”, w ramach biblioteki „Krokodyla” w Moskwie ukazała się książka Adama Ochockiego pt. „Trewoga w adu” (Alarm w piekle), zawierająca 26 humorystycznych opowiadań, felietonów i parodi literackich. Nakład tomiku — 225 tysięcy egzemplarzy. Książka Adama Ochockiego odtworzona jest rysunkami Jurija Ganta, karykaturą autora w wykonaniu Karola Baranieckiego, a przekład tekstów dokonał znany satyryk ra dziecki Naum Łabkowski. Na marginesie tej informacji nasuwa się nam następująca uwaga: czy nie byłoby wskazane, aby i u nas nakładem „Karuseli” mogły się ukazywać podobne, tanie i przystępne tomiki naszych satyryków? Dodajmy, że we wspomnianej bibliotece „Krokodyla” wypuszcza się na rynek co miesiąc jeden tytuł, który natychmiast bywa rozchwytywany. (jk)

„AUSTRIA — POLSKA”

Ukazał się kolejny numer czasopisma „Osterreich — Polen”, wydawanego przez Towarzystwo Austriacko — Polskie w Wiedniu, tym razem w wersji polskiej. Numer bogato ilustrowany zawiera szereg ciekawych artykułów, m. in. artykuł ambasadora Austrii w Polsce, Johanna Prokscha: „Austria i Polska — dobrzy sąsiedzi”, Theodora Kanitzera: „Dni polskie w Salzburgu”, następnie obszerny esej Franca Petera Constantinego: „Beethoven i Wiedeń”, wreszcie Waltera Koschatzky'ego: „Zbiory Albertina w Wiedniu”. Ponadto numer zawiera kronikę życia kulturalnego, artykuły o trzech gospodarce, sprawozdanie z występów Filharmonii Krakowskiej w Wiedniu i wiele innych.

SKARBY SZTUKI  
STAROŻYTNEJ  
Z RUMUNII

W Paryżu została uroczystie otwarta wystawa skarbów muzealnych Rumunii. Zgromadziła ona około 500 różnych eksponatów od czasów neolitu.

POLONICA

# PODRÓŻ za dwie GRANICE

Dalszy ciąg ze str. 1

stronie tygodnika „Rheinischer Merkur”, organu osławionego Franza Josepha Straussa, artykuł wstępny na temat polityki polskiej rządu Brandta, zawierający, jak na stosunki niemieckie, bezprzykładne ataki przeciwko kanclerzowi i jego polityce. Mowa tam jest o skandalu, o naruszeniu zasad dyplomacji, a nawet perfidna próba stwierdzenia, że uznanie granicy na Odrze i Nysie godzi w interesy Polaków, którzy rzekomo marzą o powrocie do ukochanego Lwowa. Krokodyl czy panna P. W. Wengera mogą oczywiście wywołać na ustach Polaka tylko uśmiech, ale świadczą o tym, do jakiej ekwilibrystyki uciekać się dziś musi propaganda wrogów naszego kraju i naszego narodu w NRF. Artykuł kończy się słowami: „Ta groteskowa i chybiona zarówno w swej formie, jak i w treści polityka nie może nigdy uzyskać zgody większości Bundestagu”.

Nawet kilkudniowy pobyt w NRF pozwala stwierdzić, że toczy się tam w tej chwili niezwykle trudna i zaciekła walka o dalsze losy tego kraju. Mieszkaństwo i siły nacjonalistyczne, militaryści i odwetowcy niemieccy wywierają potężny nacisk na kanclerza Brandta i jego rząd, by nie dopuścić do normalizacji stosunków z krajami socjalistycznymi, co jest niemożliwe, bez ostatecznego uznania granicy na Odrze i Nysie bez żadnych zastrzeżeń i niedomówień. Najbliższe wybory do Landtagów przejdą pod znakiem tej walki. I znowu okaże się, czy naród niemiecki zawiedzie raz jeszcze, czy też zdąży się na postawę pozwalającą na utrwalenie pokoju w Europie.

Spędziłem w Essen dzień 8 maja, rocznicę kapitulacji Niemiec. Ciekaw byłem bardzo, jak przebiegnie ów dzień w czasie colloquium. Niemiecka prawica stara się o tym dniu skrętnie zapomnieć. W NRD 9 maja jest Dniem Zwycięstwa nad faszystym, jak we wszystkich krajach socjalistycznych. W NRF nikt nawet o tym nie myśli, aby nadać tej dacie uroczysty charakter. Ale w dniu 8 maja czekała nas jednak niespodzianka. Przed rozpoczęciem obrad wszedł na trybunę stary i łysy pan Schultze, członek prezydium ośrodka ITI w NRF, jeden z organizatorów spotkania i powiedział: „Mamy dziś 8 maja. Chciałbym w związku z tym powiedzieć kilka słów, gdyż jest to tak niezwykła cezura w naszej historii, że nie sądzę, by można ją było tutaj pominąć milczeniem. (...) Czytam w gazetach, że 8 maja nie jest tą datą, którą można by świętować, że jest to przypomnienie klęski Niemiec. Kto nie widzi w dniu 8 maja 1945 niczego innego, jak tylko z jednej strony zwycię-

stwo, a z drugiej zwyciężonych, ten moim zdaniem w ogóle niczego nie rozumiał. Ta data ma, szczególnie dla starszego pokolenia, w którego imieniu ośmielam się tu mówić, zupełnie inne znaczenie. (...) Pokolenie, do którego należę, które było już przed rokiem 1933 w pełni świadome, by nie powiedzieć politycznie pełnoletnie i zaangażowane, tak jak ja i wielu moich przyjaciół, musi sobie powiedzieć, że już wtedy zawiedliśmy całkowicie. (...) Nie potrafiliśmy zapobiec temu, co się stało i to jest nasza wina, niezależnie od indywidualnych przemian jednostek. Uważam to za oczywiste i nie wolno nigdy o tym zapomnieć. Poczuję się do tej winy i wiem, że wielu ludzi mojego pokolenia poczuwa się do niej również. Nie muszę tu przypominać straszliwych zbrodni, które zostały dokonane. Są one dostatecznie znane. (...) Nie wolno nam też nigdy zapomnieć o tym, kto wypuścił psy i kto spowodował to, co się stało. 8 maja 1945 przeżyłem w Berlinie. (...) Miał to być nowy początek. Uplynęło od tego czasu 25 lat i cóż mogę powiedzieć jako resume tego okresu? Zawiedliśmy po raz drugi. Nie potrafiliśmy zbudować świata takiego, jaki wyobrażaliśmy sobie w naszej wczesnej młodości przed rokiem 1933 i jako dojrzały mężczyźni w roku 1945: świata pokoju i wzajemnej gotowości do okazania sobie pomocy, do pokojowego urzędowania tej planety, na której przyszło nam żyć. Ta szansa została zmarnowana. Jeśli dziś nasz rząd usiłuje — jak jestem przekonany, że szczerego serca i w uczciwych zamiarach — coś niecoś z tego zno-

wu, powiedziałbym, odrobić, nadrobić to, co zostało zaniedbane i w czym znowu zawiedliśmy, to mogę tylko mieć nadzieję, że znajdzie on partnerów, którzy okażą zrozumienie dla tej inicjatywy i gotowisą iść tą drogą wraz z nami. Pozwólcie mi jeszcze powiedzieć kilka słów do tak licznego tu zgromadzonego młodych ludzi. Słyszczę często w rozmowach na ten temat: co nas to obchodzi, to, co wyście popsuli, nas nie dotyczy. Dla nas jest to już tylko historia. Mogę na to tylko odpowiedzieć: nikt nie żyje w próżni. (...) Urodziliśmy się w czasach, w których nie wolno żyć tylko dniem dzisiejszym. Ten zarzut czynią nam zresztą słusznie teraz właśnie młodzi ludzie, kiedy mówią, że żyjemy tylko teraźniejszością. Dzisiejsza młodzież żyje i musi żyć z przeszłością, w teraźniejszości, dla przyszłości. Jeśli tego nie widzą, popełniają te same błędy, które myśmy popełnili, i mogą tylko wyrazić najgorętsze pragnienie i nadzieję, że zostanie im zaoszczędzone to, co muszę tu teraz zrobić pod koniec mojego życia, mówiąc: zawiedliśmy dwukrotnie w najstraszniejszy sposób. Chciałbym, by nie musiała tego kiedyś w przyszłości powiedzieć o sobie nasza dzisiejsza młodzież”.

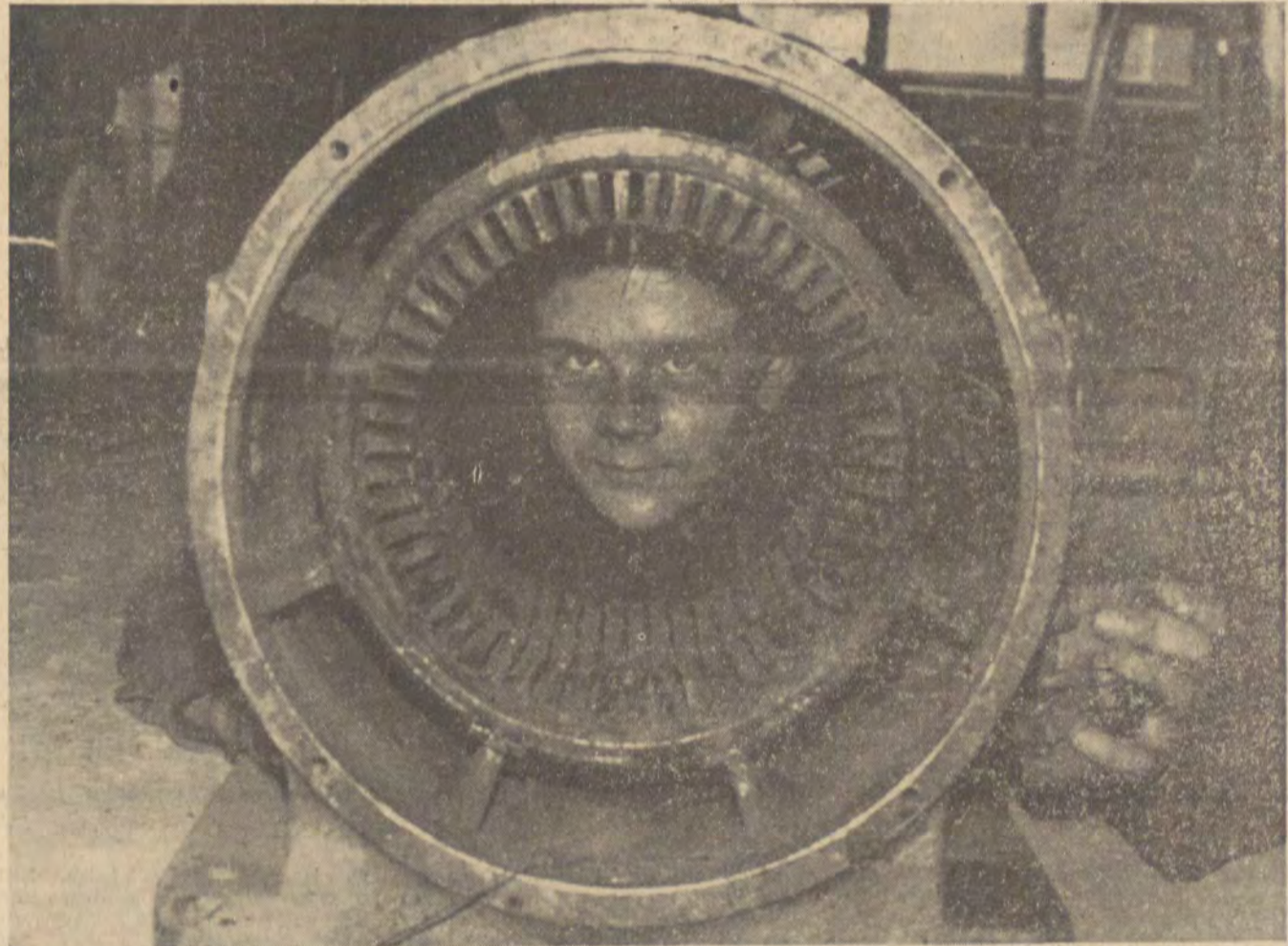
Słowa pełne wzruszenia skierował pan Schultze do Polaków, uczestniczących w colloquium: „Chciałbym prosić Was, przyjaciele z Polski, byście jako przedstawiciele wszystkich tych krajów, w których w imieniu Niemców dokonano tylu rzeczy tak strasznych i niewybaczalnych, przyjęli oświadczenie, że znamy bardzo dokładnie naszą winę”. Zwracając się do wszystkich uczestników spotkania powiedział na zakończenie swego przemówie-

nia stary Niemiec: „Miniony czas przyniósł tyle zbrodni, pozostawił tyle trupów, chorych, kalek, zniszczył tyle bezcennych dóbr kulturalnych, że wciąż zadawać sobie musimy pytanie, jak było to w ogóle możliwe, jak mogła głupota ludzka i naga zbrodnia doprowadzić do tego i jak to się dzieje, że jest to jeszcze wciąż dzisiaj możliwe? Proszę was, byście powstałi z miejsc. Pomyślcie przez chwilę o tych, którzy niewinnie utracili życie, niezależnie od tego gdzie jest ich ojczyzna, niezależnie od tego, jakim mówią językiem i jakiego koloru jest ich skóra”.

Po tym przemówieniu można było pana Schultze uściskać dośn. Chciałbym, by wielu Niemców, starych i młodych, myślało podobnie jak on. Dla niego lekcja historii nie była daremna. Niestety, dotychczasowe doświadczenia wskazują na to, że zarówno w roku 1933, jak i w ciągu 25 lat po wojnie, tacy jak on byli w mniejszości. Jak będzie w latach siedemdziesiątych? Oto jest pytanie...

Kiedy wychodziłem z dworca w Essen, by wsiąść do pociągu, jadącego do Warszawy, bileter spojrzął na mój bilet i zapytał najczystsza polszczyzną: „Pan do Warszawy? Jak tam w Warszawie?” Odpowiedziałem: „Dobrze” i pomyślałem: ileż tu krwi i potu polskich górników i robotników, hutników i kolejarzy wsiąkło w tę bogatą ziemię Zagłębia Ruhry, ileż fortun Kruppów i Thyssenów wyrosło z jej wyzysku. Jakże głęboko tkwią w tej ziemi polskie ziarna. Ileż pomostów można by odbudować, gdyby łączyły nas normalne, pokojowe stosunki, gdyby władcy Niemieckiej Republiki Federalnej i jej społeczeństwo potrafiło wyciągnąć wnioski ze skutków wojny i przezwyżyć odwetowe i nacjonalistyczne dążenia. Jakże blisko mogło być do tego kraju za dwoma granicami...

ROMAN SZYDŁOWSKI



Fot: R. JAWORSKI

## 10 lat „Polonica Dedeciana”

Karl Dedecius, eseista, krytyk literacki, a przede wszystkim tłumacz i niezmiernie popularny polaryzator literatury polskiej w Niemieckiej Republice Federalnej, to już dziś niemal instytucja. Laureat licznych nagród literackich, m. in. Polskiego PEN-Clubu, Deutsche Akademie für Sprache und Dichtung w Darmstadtzie oraz Polish

Institute of Arts and Sciences w Nowym Jorku, od dziesięciu lat nieprzerwanie przyswaja kulturze niemieckiej najnowsze osiągnięcia polskiej twórczości pisarskiej; poeta wyczulony na melodię wiersza, świetny znawca niuansów językowych, dociepliwy badacz idiomatyki — szczególnie dużo uwagi i pracy poświęca poezji najnowszej: zara-

zem jednak to jego wyczuwanie językowe pozwoliło mu kongenialnie przełożyć takie perełki literackie, jak „Zielona geś” K. I. Gałczyńskiego czy „Myśli nieuczesa- ne” St. J. Leca.

Jego pierwszą pozycją była — wydana przez ambityny Carl Hanser Verlag w Monachium — pierwsza na terenie Niemiec zachodnich antologia najnowszej poezji polskiej, „Lekcja ciszy” (Lektion der Stille); tom ten doczekał się już trzeciego wydania.

W ciągu minionego dziesięciolecia Karl Dedecius wydał łącznie 33 tomy przekładów literatury polskiej (przeważnie zresztą poezji), które osiągnęły łącznie imponujący nakład 300 000 egzemplarzy. Bestsellerem

stały się „Myśli nieuczesa- ne” St. J. Leca (20 wydań — 120 000 sprzedanych egzemplarzy!) oraz poezje Zbigniewa Herberta (2 tomy — 25 000 egzemplarzy).

Pod koniec 1969 roku prasa zachodniemiecka prze prowadziła ankietę wśród ośmiu czołowych krytyków literackich NRF, prosząc o podanie najważniejszych osiągnięć wydawniczo-literackich roku. Na liście znalazło się 35 książek (z ogólnej ilości około 30 000 nowo wydanych tytułów, jakie ukazały się w 1969 r.), z tego aż dwukrotnie wymieniono wiersze wybrane 1945—1969 Tadeusza Różewicza „Offene Gedichte” (Carl Hanser Verlag, Monachium 1969).

Największym jednak osiągnięciem Dedeciusa —

choć on sam się do tego nie przyznaje — jest dwutomowa antologia „Polnische Prosa”, która ukazała się dotychczas w trzech różnych wydaniach: luksusowym, popularnym i masowym; obecnie przygotowane jest wydanie kieszonkowe (DTV) oraz szkolne (Reclam).

Działalność Dedeciusa nie ogranicza się jednak tylko do pracy przekładowej. W ciągu minionego dziesięciolecia wygłosił on około 50 odczytów o literaturze polskiej w Berlinie, Hamburgu, Stuttgarcie, Monachium, Kolonii, Frankfurtcie, Dortmundcie, Duisburgu, Mannheimie itd., występując w akademach naukowych, uniwersytetach, towarzystwach literackich, bibliotekach,

teatrach. Drugie tyle razy występował w audycjach radiowych i telewizyjnych. Jego przekłady literatury polskiej przedrukowywane były w podręcznikach szkolnych, najpopularniejszych antologiach czasopiśmiach i dziennikach.

Uznane licznymi nagrodami zasługi Karla Dedeciusa dla zbliżenia kulturalnego polsko-niemieckiego uwiecznione zostały w roku 1969 powołaniem go na członka Bawarskiej Akademii Sztuk Pięknych (razem z prof. Heideggerem i Heisenbergiem) oraz powierzeniem mu wykładów na temat „Poetyki polskiej XX wieku” na wydziale filozoficznym uniwersytetu w Heidelbergu.

J. ST.

KAROL BADZIAK

# KOŁOBRZEG —wskrzyszona perła BAŁTYKU

KOŁOBRZEG W DWUDZIESTYM PIĄTYM ROKU PO WOJNIE JEST JEDNYM Z NAJPIĘKNIEJSZYCH MIAST W POLSCE. NIE ZOSTAŁ ODBUDOWANY. ZOSTAŁ ZBUDOWANY NA NOWO.

W czasie zacieklej walk miasto uległo bowiem zniszczeniu w 85 procentach. Nie ocalał ani jeden budynek użyteczności publicznej. W budowę całego nowego Kołobrzegu za inwestowali ponad półtora miliona złotych. Nie zmarnowano tych pieniędzy. Powstała z nich piękna, uzdrowska nadmorska miejscowość, otoczona nadmorskim nowym blokiem, otwarta ku morzu, obsadzona jarzębiną i czerwonymi różami, jak Monte Cassino makami. To porównanie nie jest przypadkowe, walki o to miasto były równie zacięte jak bitwa o Monte Cassino.

Kołobrzeg został tak pieczołowicie zbudowany na nowo, widocznie dlatego, że tak ciężko był zdobywany. Piętnaście dni trwały dramatyczne zmagania, poległo w nich 1.013 polskich żołnierzy, 142 zaginęło bez wieści, 2.652 odniosło rany. Tyle kosztował pierwszy bezpośredni dostęp polskiego żołnierza do Bałtyku. Jeszcze Gdynia, Gdańsk i Szczecin znajdowały się w niemieckich rękach, kiedy 18 marca 1945 roku w imieniu całej Armii Wojska Polskiego stary warty wiarus, strzelec Franciszek Niewidziało wraz z poczem sztandarowym wszedł do morza, rzucił w fale złoty pierścień i głośno zawołał:

„Po ciężkim, krwawym trudzie do szliśmy do Ciebie, Morze. Widzimy, że nie na marne poszła nasza praca. Przysięgamy, że nigdy już Cię nie opuścimy. Rzucam ten pierścień w Twe fale, poświęcam Cię, Morze, jako żeś było i będziesz nasze”.

Wiele krwi się przelało zanim doszło jednak do tego uroczystego momentu. 18 marca przeszli do historii jako dzień zaślubin Polski z morzem, ale pierwszy polski żołnierz dotarł do brzegu morza już 8 marca 1945 roku. Oto, jak relacjonuje to wydarzenie Kazimierz Grzejek, dowódca plutonu ciężkich karabinów maszynowych 16 pułku 6 Dywizji Piechoty.

„Siódmego marca otrzymaliśmy rozkaz wyjścia nad morze. Niemcy pod naciskiem naszego natarcia wycofywali się szybko, nie chcąc wpaść w okrążenie. W forsownym marszu, wśród ciągłych walk, przeszliśmy 23 kilometry. Wykorzystywaliśmy wszystkie możliwe pojazdy: konie, karety ślubne, wozy, rowery, motocykle, co się dało! Prócz nieprzyjaciela przeciwko nam wystąpiła przyroda. Był to okres roztopów. Pod wieczór dotarliśmy do przedmieść Kołobrzegu od strony południa. Nie było czasu na odpoczynek, każdemu było pilno zbaczyć nasze kochane morze! Z marszu od razu przeszliśmy do natarcia, obeszliśmy miasto od zachodu i punktualnie o godzinie ósmej minut piętnaście osiągnęliśmy brzeg morski. Byłem w patrolu, który miał na lewym skrzydle przeczesać lasy, niemal dotykający brzegu. Nagle usłyszeliśmy szum morza. Panowała wietrzna pogoda i ujrzeliśmy wreszcie wzburzone fale... Wdrapaliśmy się na wzgórze i zatknęliśmy biało-czerwony sztandar” (1).

W następnych dniach kolejne plutony, kompanie, bataliony i całe pułki docierały do brzegu morza, dokonując symbolicznych zaślubin. 14 marca wyszli nad brzeg żołnierze 12 pułku piechoty 4 DP im. J. Kilińskiego. Głęboko wzruszeni są świadkami tragicznej, pełnej wymowy sceny, jaka rozgrywała się na ich oczach. Niecierpliw podopiecznik Jasiński pierwszy wysuwa się do przodu, szybko przebiegając plażę, nabiera w garść stony wody i w tym momencie pada ugodzony śmiertelnie przez wrogi snajpera. Z wyciągniętymi rękami, ze śmiertelną raną w piersiach upada w morze, fale obmywają jego zabłocone buty.

17 marca dokonują zaślubin z Bałtykiem pułki ułańskie. Najpierw odbywa się pojenie koni w morzu, następnie dwaj bohaterzy kawalerzyści, odznaczeni w licznych bojach, otrzymują pierścienie, wjeżdżają przy dźwiękach hymnu narodowego na swych pięknych kasztankach w splecione fale Bałtyku. Niezwykle podniosły był to moment, wspaniały był to widok. Żołnierzami tymi, którzy mieli zaszczyt reprezentować bogate tradycje wojenne polskiej kawalerii byli: starszy ułan Kobylński i kapral Sucherzewski.

Żołnierze biorący udział w walkach o Wał Pomorski, a szczególnie o Kołobrzeg, przysporzyli na pewno nowych laurów chwale polskiego oręża. Sama bitwa o Kołobrzeg trwała zaledwie piętnaście dni, lecz był to bój bardzo krwawy i ciężki. Brało w nim udział dziewięć pułków piechoty, trzy brygady artylerii ciężkiej, pięć pułków artylerii lekkiej oraz wiele jednostek i oddziałów specjalnych.

Niemcy stworzyli z Kołobrzegu twierdzę, której bronił system fortyfikacji znany pod nazwą „Wału Pomorskiego”. Był to pas umocnień głęboki na kilkadziesiąt kilometrów, z gęstą siecią żelbetonowych bunkrów, wyposażonych w ogromne ilości amunicji. Bunkry były komfortowe, zaopatrzone nawet w łazienki. Siedziały w nich wyłącznie doborowe dywizje SS. Dowództwo niemieckie uważało, że jest to przeszkoda nie do przebycia. Jednakże pod nawałą ciężkiej artylerii polskiej pekały jak bańki mydlane. Artyleria lekka podciągała swe działa na odległość pięćdziesięciu metrów i ogniem bezpośrednim biła w otwory strzelnicze bunkrów. Oszołomieli Niemcy szybko składali broń. Jeńcy byli ogryzani druzgocącą kłeską. Zachowywali się uniżenie i służalczo, zapewniali na każdym kroku, że Hitler kaput. Żołnierze polscy wiedzili to i bez nich. Z narodu panów hitlerowcy stawali się szybko narodem służalczych niewolników. Nie było mowy o tym, żeby żołni byli do stworzenia jakiejś masowej partii zantki.

Nasi żołnierze zajmowali domy po uciekinierach, które wyglądały jak meliny żłodzijskie, pełne zagrobionych sprzętów z całej Europy. W szafach stopy bielizny z pieczętkami magazynów francuskich, warszawskich i belgijskich. Plyły we wszystkich językach. Stare zegary polskie i francuskie, Rosyjskie samowary i holenderskie obrazy. Fortepiany i pianina w domach, gdzie nikt nie potrafił na tych instrumentach grać.

Tyle otrzymywał niemiecki mieszczuch za czynne poparcie hitleryzmu.

Po sforsowaniu Wału Pomorskiego droga polskiego żołnierza do Bałtyku prowadziła przez Kołobrzeg. Podobnie jak Wrocław i to piękne miasto Niemcy zamienili w fortecę. Oto, jak poczynali sobie w nim hitlerowcy w dniach oblężenia, w świetle relacji Józefa Pieśniakiewicza, która przebywała w Kołobrzegu podczas szturmów naszych oddziałów.

„Drugiego marca miasto otoczyły rosyjskie czołgi. Ogłoszono, że ludność cywilna ma zgromadzić się w porcie, skąd będzie ewakuowana droga morską. Grupa licząca ponad 1.000 osób, głównie uciekinierów z Prus Wschodnich, skierowana została pieszo w stronę Mrzeżyna. Wiele osób wróciło stamtąd, gdyż były to tereny już zajęte przez oddziały radzieckie. Cywilów eskortowały uzbrojone oddziały SS-manów. Tłumy ludzi musiały na załadunek do okrętów czekać w parku obok plaży. Załadowywanie ewakuowanych odbywało się wśród pokrzykiwań żołnierzy, placu kobiet i dzieci. Grozę potęgowały samoloty, które nisko latały nad miastem. Na moich oczach, kilkaset metrów od awanportu, jeden z załadowanych ludźmi okrętów został trafiony i poszedł szybko na dno. Tonacym nie udzielono żadnej pomocy. Niewielu z nich uratowało się. SS-mani wrzucali do kanału opornych, którzy nie chcieli wchodzić do łodzi, podwożących ludzi do zakotwiczonych dalej okrętów. Z grup kilku Polaków uciekliśmy do miasta. Komendant twierdzy, jak słyszałam, kazał rozstrzelać grupę obywateli Kołobrzegu, którzy prosili, by miasto poddać bez walki. Ciało rozstrzelanych znalazłono potem w hotelu „Hohenzollern”.

Siedzieliśmy w schronie obok mostu przy ulicy Rzecznej. Pociski spadały na miasto jak grad. Brak było wody. Dym wypalał oczy. Nie mieliśmy co jeść. Jakże byliśmy szczęśliwi, gdy pewnego dnia w drzwiach piwnicy zjawili się polscy żołnierze. Dopiero wtedy dowiedzieliśmy się, że również Polacy walczą o Kołobrzeg...” (2).

Na nie zdał się niemiecki opór podtrzymywany przez czołgi, okręty wojenne, samoloty i artylerię. 18 marca wczesnym rankiem oddziały polskie przechodzą do ostatniego szturmu. Łamią opór grup osłonowych i o godzinie 7,15 wychodzą na brzeg morza w rejonie kąpieliska i domu zdrojowego. Kołobrzeg zdobyty. Cztery tysiące żołnierzy niemieckich idzie do niewoli, pięć tysięcy zginęło lub zostało rannych, spośród 40-tysięcznego miasta żołnierze zostali zaledwie 2.000 mieszkańców,

zblakanych wśród ruin. Ani jeden budynek mieszkalny bez remontu nie nadawał się do użytku. Po dawnym mieście zostało pobojowisko.

Przez pierwsze dwa lata nikt się tu nie osiedlał. Ruiny domów, brak mieszkań i pracy odstraszały ludzi. Dopiero w 1947 roku, kiedy zdecydowano, że Kołobrzeg zostanie stolicą powiatu, miasto zaczęło powoli się ożywiać. Dziś liczy sobie już 25.000 mieszkańców. Posiada charakter czy sto uzdrowski. W ciągu roku przewija się tutaj ponad pół miliona letników, wczasowiczów, kuracjuszy i turystów. W stosunkowo krótkim czasie zdobył sobie Kołobrzeg renomę kurortu znanego nie tylko w kraju, ale także w Skandynawii. Ludzi przyciągają tu przede wszystkim znakomite źródła lecznicze i stosunkowo łagodny jak nad Bałtykiem, mikroklimat.

Istnieje interesująca koncepcja ocieplenia Kołobrzegu. Pomysł polega na stworzeniu zamkniętych kąpielisk nadmorskich, które łączyłyby na turalną plażę morską ze sztucznie utworzonymi warunkami balneoklimatycznymi.

Proścień oznacza to przeniesienie plaży z nad morza w pas za wydmowy. Baseny z tej strony wydm wypełnione byłyby oczywiście wodą morską. Przed chłodnym wiatrem bałtyckim chroniłby je pas wydm, które dochodzą do dziesięciu metrów wysokości. Przedłużonyby to sezon plażowy od maja do września. Można by uzyskać w Kołobrzegu warunki klimatyczne zupełnie podobne warunkom, jakie panują nad Morzem Czarnym czy Adriatykiem. Stwierdzono, że w przypadku wyeliminowania wiatru, kołobrzezkie plaże uzyskałyby korzystniejszy mikroklimat niż wybrzeże Mangalii. Zdać sobie sprawę, że to co w tej chwili piszę, brzmi trochę jak bajeczka, lecz jest istotnie realne. Kołobrzeg rzeczywiście jest w stanie zdystansować Warnę, Dubrownik i Mamaję. Tutajsza aura zawiera stosunkowo dużą ilość jodu i olejków eterycznych, tak, że w przypadku „oszukania wiatru” miasto ma szansę stać się najwybitniejszym ośrodkiem leczniczo-wypoczynkowym w Europie.

1) Jerzy Pertek, „Pobrzeże” nr 13 r. 1970.  
2) Tadeusz Gasztold, „Pobrzeże” nr 18 r. 1970.



Fot.: M. MURMAN

Poskręcana, zapętana sieć leży w łodzi. Pośród delikatnych nylonowych nitek błyszczy w słońcu ryby. Mirko stoi okrzakiem nad tą bezkształtną kupą nylonu i po woli spośród zwoi wybiera połów. Większe sztuki wrzuca do wiadra, mniejsze do bańki z niebieskim napisem „Ina”. Muszle, rozgwiżdzy wyrzuca na brzeg. Pracuje systematycznie, opalone, przeżarte słońcem palce, ocieśla, zdławia by się mogło nieporadne, zrecznie wyszukują pośród skręconej sieci, drogę po zdobyc. Przez cały czas pochyłony, zgarbiony nieco Mirko prostuje się, gdy sieć jest puścią i można ją podać stojącemu na brzegu Rudolfowi. Rudolf jest dużo starszy. Twarz wysuszyła mu słońce, przeorała tysiącami zmarszczek. Słowa, nie goniła od kilku dni szczeni. Koszula wyblakła, ma ciemniejsze, chyba nie tak dawno naszyte łaty. Spodnie podarte, nie zapięte, opadają z kościelnych bioder. Na głowie czapka strzeżona przed porażeniem. Typowy starzec z Południa. Z mądrym, spokojnym spojrzeniem, w którym za warły się przeżyte lata, ze zwolnionym tempem życia. Rudolf rano pomaga Mirko, a gdy praca jest skończona, ryby sprzedane, albo już sma

żają się u Mirko w domu na patelni, kiedy słońce jest w zenicie i nie daje zbawczego cienia, wtedy obaj idą do małego kantorku, pokoiku, w którym z trudem mieści się pięć krzeseł, ustawionych pod ścianami i jedna łada na wprost drzwi, za którą siedzi Rudolf. Na ladzie opłocenie bańki z winem i flaszki z rakiją. Bo Rudolf później, aż do wieczora lub nocy sprzedawać będzie wino i rakiję. Swojej roboty. Schodzą się do niego wszyscy starzy rybacy, siadają pod ścianami, cmią fajki, sączą czerwony płyn. Wspominają, żartują. Z godziny na godzinę mętnieją im oczy, kłwają się wsparci na laskach do czasu, aż dobry wnucek lub uczynny sąsiad nie zabierze ich do domu. Wyrzucona na brzeg ośmiornica jeszcze chwytła maćkami beton. Jeszcze pełnie z centymetr, dwa, jeszcze chce walczyć o swoje życie, ale słońce jest bezlitosne. Obsuszło już skórę. Za chwilę odbierze siły i każe zrezygnować z tej bezsensownej walki.

Mirko wyluskał z sieci dużych muszle. Większa od innych. Rzucił ją Rudolfowi. Ten ogłada ze znużeniem, kiwa z uznaniem głową, grzebie ręką w kieszeni i wyciąga nóż. Ostrze wbija się między dwie

połowy. Drugie, mocniejsze pchnięcie. Rudolf chowa nóż, rozwiiera palcami skorupy. Jedną, tę z żółto-biało-galaretowatą masą podaje mi, drugą pustą wyrzuca do morza. — Jedz, dobre — mówi, uśmiechając się życzliwie, a widząc moje niezdecydowanie dodaje: i popij. — Czym? — pytam chcąc przezwyciężyć strach i podjąć decyzję. — Jak to, czym? — mruczy pod nosem Rudolf i wolno człapie w kierunku opartego o wiadro bukłaka. — Zaby pij ją wodę, ludzie wino. Wiem, że nie mogę odmówić poczęstunku, jeśli chcę zyskać sympatię i przyjaźń rybaków. Podnoszę muszelę do ust. Czuję, że ta galaretowata masa jest słona. Boję się ją zgrzyć, bo widziałem, jak się przed chwilą ruszała, pulsowała, więc szybko ją przełykam i popijam winem. Mirko i Rudolf z uznaniem kiwają głowami i wyczekują na opinię.

— Dobre — mówię, a oni przekonani, że zrobili mi przyjemność, z powrotem zabierają się do pracy.

Ze skręśliwym piśkiem spada na wodę wielka, biała mewa i frunie dalej unosząc w dziobie trzepoczącą się jeszcze rybę. Niebieska woda

da łagodnie kotłuje łódkę, z cichym szmerem wdiera się pomiędzy kamienie, by w nich stracić impet i spokojnie, lekko uderzyć o brzeg. Rudolf nalewa mi kolejną szklankę ciepłego, chłodnego wina. Sam pociąga potężny łyk z flaszki.

— Żywieli.  
— Na zdrowie — odpowiadam.

W ten właśnie sposób zaprzyjaźniłem się z Mirko i Rudolfem. I dzięki temu wieczorem mogłem obejrzeć pierwszy mecz piłkarski Brazylia—Anglia, dzięki temu mogłem być w Meksyku. Bo, tu wypada mi wyjaśnić, postanowiłem zobaczyć zmagania najlepszych piłkarzy świata. Taką szansę dawała kibicom, miłośnikom futbolu, zawsze żyć liwa sportowcom muza, jaśnie wielmożna pani małego szkła nego ekranu — telewizja. Nie stędy nie nasza, polska. Nie przyjdzie Mahomed do góry, nie było w Polskiej TV transmisji z Areną Mexico, z mistrzostw świata w piłce nożnej, więc pojechałem tam, gdzie rozgrywkę najlepszych piłkarzy można oglądać, a przy okazji także opalić się i wypocząć, jako, że na ten cel postanowiłem przeznaczyć urlop. Tak więc spakowaliśmy

ZBIGNIEW WOJCIECHOWSKI

## Meksyk

namioty i pierwszego czerwca już po rozpoczęciu mistrzostw wyruszyliśmy w drogę. Do Ju gosławili. Plan jest prosty. Rano słońce, Adriatyk, słony aż nieprzyzwyczajony przezroczyoty, przyjazny każdemu, potem obiad spreparowany z za branych z sobą turystycznych konserw, wieczorem zaś Meksyk. Meksyk w Jugosławii. Trudność jednak polega na tym, że nie bardzo jest gdzie oglądać transmisję. Telewizory są tylko w prywatnych mieszkaniach. Jak się do nich dostać? Jak się zaprzyjaźnić i uzyskać zaproszenie do prywatnego domu?

\* \* \*

Mirko ma żonę i dwójkę smagłych, niespokojnych chłopców. Nawet minuty nie usiedzą na jednym miejscu. Chodzą pod stołem, gonią się po niewielkim pokoju. Przeszkadza to w oglądaniu

transmisji, więc ojciec musi skarcąc chłopców. — Idźcie do drugiego pokoju — mówi krótko i kategorycznie. Drugi pokój to kuchnia, w której siedzą kobiety. Żona i matka żony. Oglądają telewizję przez otwarte drzwi. Pokój z telewizorem, ten główny, reprezentacyjny przeznaczony jest dla mężczyzn. Siedzą wygodnie na tapczanie i krzesłach. Kobiety stoją w drzwiach. Od czasu do czasu Mirko wola żony, by przyniosła słone ciastka, wino, papierośy.

Brazylia i Anglia. Dwie potęgi światowego futbolu. Znakomici piłkarze, znakomite drużyny. Anglicy w białych, Brazyljczycy w ciemniejszych kostiumach. Ale poznać ich można przede wszystkim po kraczawo różnych systemach gry. Po sposobie poruszania się na boisku. Brazyljczycy zwinni, czasami jakby senni, niemrawi, by w ulamku sekundy wyrzucić do przodu

## Nie wywróżyła im zazula...

Dalszy ciąg ze str. 1

przyniósł tak miłe wydarzenie, jak powrót na estradę Anny German.

Po kilkuletniej nieobecności zespołów na estradzie opolskiej, w ubiegłym roku rozpoczęła się ich inwazja, która w tym roku przybrała rozmiary całkowitej dominacji. Żeby przynajmniej były to zespoły reprezentujące wysoki poziom, wnoszące do imprezy jakieś świeże, nowe pomysły. Ale na palcach jednej ręki można policzyć to co ciekawe. Reszta przedstawia mniej lub więcej żalony poziom, w którym jedno jest tylko mocne, mianowicie — uderzenie decybelami. Zmienił nieco styl wykonawczy Skaldowie, sięgnęli do ambitniejszych tekstów (głównie Osieckiej) i wyszło im to na dobre. Ten zespół z pewnością ma, od ubiegłego roku widoczne osiągnięcia. Obniżył poziom zespół No To Co, interesujące i dobre w ubiegłym roku „Czerwone Gitary” rozstały się z Klenczonym który stworzył „Trzy Korony” i w ten sposób mieliśmy okazję podziwiać dwa bardzo niedobre, z niedobrym repertuarem, zespoły.

Nie więc dziwnego, że w sytuacji gdy zespoły mnożą się u nas w postępie nieomal geometrycznym, a ramy czasowe festiwalu pozostają wciąż te same, dochodzi do paradoksu, którym jest brak czasu i pieniędzy na pokazanie wartościowych solistów z wartościowym repertuarem, że nie stać na pokazanie maratonu kabaretowego, którego program został już opracowany. Jego uczestnicy rozbili się na recitalowe grupy i dzięki nim między innymi wykrócił się względnie ciekawy koncert finałowy.

Co było przedtem? Większość czytelników widziała to zapewne przed telewizorami. Koncert „Przeboje sezonu” był pod wieloma względami nieporozumieniem. Ewentualnych przebojów naliczyłam trzy: „Orkiestry dęte” Rzeckowskiej-Stanisławskiego w wykonaniu Haliny Kunickiej, „Gorzko mi” Zielińskiego-Osieckiej w wykonaniu Teresy Tutinas i do zdumienia osłuchany „Ach-co za ślub” Sikorskiego-Młynarskiego w wykonaniu „Quorum”. Kilka piosenek ambitnych jak „Zielono mi” Wróblewskiego-Osieckiej, w świetnym wykonaniu Andrzeja Dąbrowskiego, „W złotych płomieniach liści” i „Nie ma szalana” obydwie Zielińskiego-Osieckiej i wykonaniu Skaldów (pierwsza z Lucją Prus). Poza tym całą masą marnoty.

Koncert „Premiery 70” z całą pewnością nie przyniósł ani jednego przeboju i znów tylko kilka pozycji ambitniejszych jak „Lśnięcie brzozy polnej” Nahornego-Zurawskiego, czy „Póki ludzie się kochają” Zielińskiego-Młynarskiego, obydwie w doskonałym wykonaniu, pierwsza — Andrzeja Dąbrowskiego, druga — Stana Borysa. Te dwa koncerty, stanowiące właściwie główny trzon festiwalu, zawiodły. Szkoda, tym bardziej, że w tym roku przyjechało do Opola sporo zagranicznych gości, w tym również dziennikarzy. Ponieważ krajowi urzędnicy się znacznie rozszedli, sprzed domowego telewizora nadsyłając własne korespondencje do redakcji. Jest to pomysł niewątpliwie godny rozpowszechnienia.

Wylom w obniżającym się poziomie festiwalu stanowią koncert debiutów „Każdy kiedyś zaczynał” nie transmitowany przez telewizję. A szkoda, bo była to jedna z ciekawszych imprez. W tym roku pojawiło się, znacznie więcej niż w ubiegłym, ciekawych młodych wykonawców, o rokujących przyszłość głosach jak: Maria Warzyńska z Grudziądza, Krystyna Hojnowska z Żar, Grażyna Szymańska z Łodzi, Elżbieta Wojnowska z Częstochowy czy Tomasz Andrzejewski z Warszawy. Mają przed sobą przyszłość. Czy będą mieli rozsadek, by wykorzystać szansę? Przez estradę opolską przesunęło się w ciągu tych lat wielu debiutantów. Dziś jedni legitymują się najwyższą marką wykonawczą, o innych — a tych jest nieporównanie więcej — słuch zaginął. Jeszcze inni poszli drogą naj-

łatwiejszą, choć nie najrozsądniejszą — drogą występów w objazdowych zespołach estradowych, które dla początkujących, niedoświadczonych i niedouczonej solistów są grobem prawdziwej kariery. Tania popularność, brak czasu i chęci na kształcenie głosu, kultywowanie muzycznego analfabetyzmu — oto droga, która wiedzie czasem nawet... za granicę.

Już na marginesie festiwalu dyskutowaliśmy na temat występów zagranicznych naszych zespołów i piosenkarzy. Jedną grupę stanowią tu klezmerzy, którzy falangami wyjeżdżają do krajów skandynawskich, by tam produkować się w trzeciorzędnych knajpach i rzadko się zdarza, by byli to ludzie przynoszący nam sławę. Drugą sprawą związaną z zagranicznymi występami są już zespoły renomowane, których nie trzeba się może wstydić, ale przy których dobrze się trzeba zastanowić, zanim się je wyśle. Nie podobali się za granicą (są to występy dla Polonii) Skaldowie, niewypałem był występ No To Co. Ale jest to temat, o którym pisałam już kilkakrotnie, nie chcę w tym miejscu do niego wracać.

Czy można było w Opolu znaleźć w tym roku coś nowego, coś, co można zapowiedzieć i polecić uwadze amatorów tego gatunku rozrywki? Tu pojawił się po raz pierwszy, doświadczony zresztą już piosenkarz jazzowy, świetny Andrzej Dąbrowski, obejrzelśmy warszawski zespół „Klan” z bardzo interesującym programem muzyczno-baletowym „Mrowisko” (w recitalu) i przeabawną krakowską grupę Tropicale Thaitij Grand Banda (również recital) — zespół o tyle bezpretensjonalny o ile pretensjonalną nosi nazwę. Składa się z absolwentów i studentów Wyższej Szkoły Muzycznej w Krakowie i czerpie „inspirację z reakcji”, reakcji na to co się dziś w ruchu muzyczno-rozrywkowym dzieje. W programie zakłada profanacje muzyczne, żart muzyczny i rodzaj grotesko-parodii. Myślę, że łącząc ogromne poczucie humoru z dobrze opanowanym rzemiosłem muzycznym, zespół ten zdobył dużą popularność dostarczając widzom beztroskiej, pełnej zaskakujących pomysłów zabawy. Dla amatorów tego typu rozrywki jest jeszcze cygański zespół „Roma”, który w Opolu przypadł bardzo do gustu.

Interesującego materiału do rozmyślań dostarczyła nam konferencja prasowa z udziałem przedstawicieli biura artystycznego festiwalu. Dowiedzieliśmy się podczas niej, że dziennikarze piszą o Opolu tylko na „nie”, a nie przedstawiają pozytywnych propozycji, nie sugerują jaki festiwal powinien być. Osobiście reprezentuję pogląd, że wymyślenie koncepcji festiwalu nie należy do mnie i do moich kolegów, bo działa powołany do tego specjalny sztab ludzi, którzy mają zaszczyt i obowiązek myśleć jaki ma być ten festiwal. My, jako przedstawiciele publiczności, mamy wraz z nią tylko jeden postulat: aby był on dobry.

Mogę jednak we własnym imieniu powiedzieć czego spodziewam się od festiwalu. Chciałabym słyszeć czołówkę polskich wykonawców i czołówkę polskich piosenek. A także najciekawszych debiutantów. Chciałabym, aby nie zmuszano mnie do słuchania złych wykonawców, takich na przykład jak Ala Eksztajn, która z walorów muzycznych dysponuje tylko mikrofonem przy kompletnym braku głosu, co jest u niej jeszcze gorzej niż brak głosu. Nie chciałabym również słuchać takich zespołów jak na przykład „Wiślanie”, bowiem nie samym hałasem człowiek żyje. Proponuję, aby wyeliminowano co najmniej połowę zespołów — miernych i złych, na rzecz dobrych solistów i maratonu kabaretowego. Proponuję, aby wyeliminowano z tekstów pseudopoetyckość i pseudozaangażowanie na rzecz wartościowych tekstów poetyckich i zaangażowanych. Te ostatnie zresztą nie każdemu można powierzyć. Bo gdy tzw. tekst zaangażowany śpiewa na przykład Joanna Rawik, to jest to na miejscu, ale gdy o powstańcach śląskich śpiewają cyrkowo przebrani i podrygujący „Trubadurzy”, to budzi to już sprzeciw. Sądzę, że należy zastanowić się nad rozpowszechnianiem tekstów takich jak „Ostatnia kula” z następującym refrenem:



Halina Frąckowiak

Ostatnia kula, ostatnia kula  
nie wykulała mi zazula wróżby zlej...  
Ostatnią kulę, ostatnią kulę  
pochwyć i gołębicę zrobić z niej.

albowiem jest to właśnie klasyczny przykład pseudopoetyckości i pseudozaangażowania, nie mówiąc już o wartościach literackich.

Występ na festiwalu opolskim jest na pewno wyróżnieniem, a dla początkujących piosenkarzy także szansą. Cenią go sobie wszyscy, także wykonawcy znani już i uznani, którzy nie potrzebują ubiegać się o popularność. Jeżeli jednak cała Komisja Artystyczna festiwalu uważa tak jak jej przewodniczący, że na przykład „Ewa Demarczyk powinna na czworakach iść do Opola, bo ona ją wylansowała”, to smutno widzę następne festiwale. Demarczyk istotnie debiutowała w Opolu, tak samo debiutowała zresztą wielu innych, którzy jednak kariery nie zrobili. A Demarczyk zawdzięcza swoją pozycję jedynie własnemu talentowi i własnej ambicji. I dziś jej występ w Opolu, jest zaszczytem nie tylko dla niej, ale i nie mniejszym — dla festiwalu. I to, niestety, w rozmowach wstępnych trzeba uwzględnić. Wydaje mi się, że w stosunku do wybitnych wykonawców nie mogą grać roli względy ambicjonalne: kto kogo pierwszy powinien poprosić.

Należy mieć nadzieję, że organizatorzy opolskiej imprezy sami wyciągną wnioski z ostatniego festiwalu, bowiem jego systematycznie obniżający się poziom jest z pewnością sygnałem alarmowym, że poważnie zastanowić się należy nad jego przyszłością.

TERESA WOJCIECHOWSKA

## w Jugosławii

błyskawicznie uwolnić się od przeciwnika. Grają jakby bawili się piłką, jakby sam fakt gry sprawiał im wielką radość, był przyjemnością. Anglicy natomiast twardzi, solidni, zażarci. Odbierają piłkę i pchają ją do przodu. Wszystko poprawnie, tak jak trzeba, ale bez fantazji. Idą ciężko, brak im lekkości w ruchach, za to są znakomicie zgrani. Rozgrywa piłkę Charlton, to znów Moore. Gdy zbliżają się do pola karnego, kierują piłkę na skrzydła, starają się rozciągnąć grę. Potem centra, wycofanie piłki i znowu zagrywka lub strzał z drugiej linii. Widać wyraźnie, że aktualni mistrzowie świata doskonale oprowadzają system i szereg wariantów rozgrywania piłki na przedpolu przeciwnika, że grają nieomal na pamięć. Nie mogą się oprzeć wrażeniu, że wszystko to jest bez polotu, jak uczeń, który wykluje zadaną lekcję „na blachę”. Nato

miast Brazylijczycy są pozornie chaotyczni, pozornie tylko, bo grają niesablonowo. Grają krótkimi podaniami, to znów przerzucają grę długim wykopem na drugą stronę, a gdy coś się im nie udało, potrafią wycofać piłkę spod pola karnego przeciwnika, aż na połowę boiska. Tostao, Rivelino popisują się znakomitym dryblingiem. Pele mija po trzech angielskich obrońców, ale czwarty zagradza mu drogę do bramki. Obrona angielska gra bardzo uważnie, zdecydowanie i ostro. Dziesiąta minuta spotkania. Do pola białej piłki wyskakuje Pele. Strzela głową silnie, prawie że w samo „okienko”. Wszystkim się zdawało, że piłka nieuchronnie wpadnie do siatki. Ale jest jeszcze Banks. Dosłownie frunie w powietrzu i instynktownie przedramieniem paruje strzał. Odbita piłka wychodzi poza boisko. Pierwszy, który mu składa

gratulacje, to Pele. Brazylia przeważa nieznacznie, ale Anglia tuż przed przerwą omal nie strzela bramki. Kontratak Brytyjczyków jest błyskawiczny. Prostopadle podanie do prawoskrzydłowego, centra, która przechodzi nad głową obrońcy Brito i przy piłce jest szybki Lee. Rzucił się szczytnym do leżącej piłki, markuje strzał głową w prawy róg, i gdy już wszyscy łącznie z brazylijskim bramkarzem myśleli, że tam poszybuje piłka, Lee w powietrzu wykonuje je nagły zwrot i strzela w lewą stronę. Było to mistrzowskie uderzenie. Ale bramkarz Felix ma rzadko spotykany refleks. Przewracając się w prawy róg zdołał jeszcze, także w powietrzu, wykonać zwrot i czubkami palców odbić piłkę. Wkrótce potem gwizdek sędziego kończy pierwszą połowę spotkania. Wynik 0:0.

Zona Mirko przynosi chleb, biały, miękki, pokrajany na grube 5-8 centymetrowe pajdy. Jest kiełbasa, ociekająca tłuszczem, cebula bardziej ostra, ale i bardziej słodka od naszej. No i rakija. Podczas tego poczęstunku dowiadujemy się, że Mirko zarabia średnio 1000-1200 dinarów, że najwięksi kasa ryba, jaką złowił ważyła 28 kilo i że tu, nad Adriaty-

kiem łowi się ryby w dwojaki sposób. Pierwszy widziałem. Normalny — na sieci. Drugi rzadziej używany, polega na tym, że rybacy na dziobie łodzi instalują silną gazową lampę i łowią harpunem. Ryby zwabione światłem, podplwają do oświetlonego miejsca, gdzie łatwo je nadziąć na ostry, trójzębny harpun. Ten rodzaj „polowania” możliwy jest tylko podczas ciemnych, bezksiężycowych nocy. Jeszcze tylko dyskusja na temat papierosów — Mirko uważa, że jugosłowiańskie papierosy są najlepsze na świecie, zapytany, dlaczego tak sądzi, odpowiada, że tak mówią w telewizji. I już druga połowa meczu.

Tempo wzrasta jeszcze bardziej. Gerson, Pele, Jairzinho przedzierają się przez obronę angielską, ale bramka nie pada. Kontratak Anglików są groźne, niestety strzali z drugiej linii, zwłaszcza Bobby Charltona niecelne. Wreszcie krótka zagrywka Everaldo do Tostao, napastnik brazylijski znakomicie zwoździ trzech obrońców, markuje strzał i lekko przerzuca piłkę do rozpedzonego Jairzino. Strzał w pełnym biegu. Banks desperacko rzuca się pod nogi. Strzał jest piekielnie silny i precyzyj-

ny. W prawy górny róg bramki. Brazylia prowadzi 1:0. Na stadionie wrzask. Kibice szaleją, Mirko też wstał, podskakuje, klepie mnie swoją potężną ręką w podrażnione od słońca plecy. Powtarza w kółko: brawo Brazylia! brawo Brazylia! Brazylia dobra! Oglądamy powtórzenie tej akcji w zwolnionym tempie i dopiero teraz można ocenić, jak znakomita była ta zagrywka. Zwody Tostao i ten strzał Jairzino. Nawet przy zwolnionym tempie trudno uchwycić moment lotu piłki. Wielki mecz trwa nadal. Anglicy mają jeszcze trzy okazje do zdobycia bramki. Szczeście im nie dopisuje. Zawodzą nerwy, zawodzi kondycja. Jeszcze na koniec bardzo silny strzał Anglików w poprzeczkę i brazylijski taniec zwycięstwa. Zawodnicy skaczą, rzucają się w ramiona, całują ziemię, odprawiają modły. Piłkarskie misterium zwycięstwa. Na trybunach szal, Strzelają petardy, ludzie jakby wpadli w trans. Przez dziewięćdziesiąt minut bezustannie wrzeszczeli, dopinowali swoich piłkarskich bogów, modlili się o zwycięstwo, a teraz, gdy to się spełniło, rozładowują nerwowe, napięte.

Spikerka telewizji Zagrzeb za

powiada, że kolejne emocje piłkarskie za dwa dni wieczorem, kolejna transmisja meczu Anglia-Czechosłowacja.

Jest już po dziesiątej. Dzieci i kobiety już śpią. Nie chcę przedłużać wizyty, gdyż wiem, że rankiem, jak co dzień, Mirko musi wypłynąć w morze. Zapytuję tylko dyskretnie, co robi jutro i pojutrze. Przez następne dni nie będzie kłopoty. Mirko będzie łowił z lamką i harpunem. A więc już wiem, że następnego meczu nie będę mógł obejrzeć w tym domu. Muszę znaleźć inny dom, inny telewizor, innych przyjaciół. Ze Stonu do Papratna, gdzie jest camping odległość wynosi pięć kilometrów. Droga wyboista, kamienista. Ciemno. Egzotyczne krzewy i drzewa nocą wyglądają groźnie i tajemniczo. Idę wolno, rozpatrując emocje piłkarskiego spotkania. Ptaki w śpiewają całe melodyczne frazy. Jest ciepło, czerwcowo noc nad Adriatykiem. Ciepła, ciemna, spokojna, senna.

Tam daleko w Meksyku, tam daleko w Rio trwa teraz na pewno wielki karnawał festujący zwycięstwo.

# Dług

Na ulicy wszyscy mówią Wiktorowi: panie, Wiktor ma brzuszek, czarną opaskę na rękawie i reuma tyżm, Wiktor ma przyjaciela. Gdy ktoś napotka jego przyjaciela, śmieje się. Wszyscy się z niego śmieją. Nawet miode dziewczyny. Jego przyjaciel jest nie ogolony, ma po darty rękaw i gruczołce. Poeta, Wiktor jest kelnerem.

Dlatego w gospodzie na Cwjetnym Placu Wiktor zwraca się do poety: pan życzy? Potem staje za jego plecami i patrzy na młodą dziewczynę, która sprzedaje fiołki. Dostrzega to zawsze gruba kobieta, sprzedająca kaktusy. Ale ona jest stara.

Poeta zwykle jest głodny. I spragniony. Nigdy nie patrzy przez okno na Cwjetny Plac.

— Wiktorze, kapustę bez mięsa. — Dziś nie piątek, panie. O ile wiem, pan lubi kapustę z mięsem. Mamy dzisiaj młodą wieprzowinę.

— Lubie starą wieprzowinę. — Młoda jest słodsza, panie. — Wiktor uśmiecha się. Zazwyczaj uśmiecha się wtedy dziewczyna z fiołkami. Potem zawsze ktoś go woła do innego stołu.

Tylko ten jeden stół stoi przy oknie. Dlatego Wiktor i poeta stali się przyjaciółmi.

Wiktor zawsze mówi:

— Kiedyś mi pan zapłacił za wszystko razem.

— Nigdy nie będę miał wiele pieniędzy.

— Będzie pan sławny.

Poeta zwykle daje się przekonać i zamawia pieczeń.

Pewnego dnia poeta zamówił wino. Zaprosił kelnerkę, aby z nim usiadła. I jakiegoś sprzedawcę gazet, który wstępował codziennie na rakię. Wiktorowi szepnął: Pojutrze dostanę pieniądze. I zaprosił go do siebie.

★

Dziewczyna z fiołkami miała zaróżowione policzki. Twarz sprze-

dawczy kaktusów pokryły rumieńce. Domy po wschodniej stronie ulicy miały złoty kolor. Mieniła się czerwienią biała suknia sprzedawczyń chleba, karmiącej gołębie. W pobliżu wygrzewał się żebrak.

Pan Wiktor miał także zaczerwienione oblicze. Stał przed gospodą. Zachodziło słońce. Gdzieś dzwoniły dzwony. Dziewczyna zachwalała swoje fiołki:

— Kupcie, panie! Taniol! Dam panu najpiękniejsze!

Sprzedawczy kaktusów mrucała: — Ktoś umarł. Jeszcze dzwonią.

— Na pewno był bogaty — mówiła śpiewnie dziewczyna z fiołkami. — I piękny.

— Skąd wiesz? — zapytała kobieta, sprzedająca kaktusy.

— Och, wiem. Gdy ktoś jest bogaty, musi być piękny. Kupcie, panie, fiołki! Świeże!

Pan Wiktor kupił dwa bukietki. Położył jej pieniądze na dloni i delikatnie ścisnął palce.

— Kiedy biją dzwony, trzeba pomyśleć o starości — mówiła sprzedawczy kaktusów. — Ozdobicie

panie, swoje okna! Piękne zielone kaktusy!

— Kaktusy kupię innym razem. Teraz idę z wizytą. Zaprosił mnie mój przyjaciel poeta.

— Ooo, poeta! Są żywi poeci? — zapytała ze zdziwieniem dziewczyna z fiołkami.

— Dzisiaj stał się sławny — oznajmił pan Wiktor.

Był odświętnie ubrany. I bardzo rozmowny. Nawet reumatyzm mu nie dokuczał.

— Muszę się spieszyć. Sławni ludzie nie lubią czekać.

— Chciałabym mieć męża poetę — westchnęła dziewczyna z fiołkami.

— Mój syn też pisze wiersze! — zawołała stara kobieta.

Wiktor miał w kieszeni złoty zegarek z wrytym herbem pana barona... Nazwiska już nie pamiętał. To było dawno, kiedy mu podarował ten zegarek pan baron. Był winien Wiktorowi za burgund i za szampana. W tej kieszeni Wiktor miał też zdjęcie nieboszczki żony, a w drugiej kalendarze z trzech ostatnich lat. Kiedy jego

przyjaciel poeta będzie mu chciał zapłacić, może mu dokładnie powiedzieć, co i kiedy jadał. Piątki opuścił. W imię przyjaźni. W piątki w gospodzie były tylko szprotki i groch w oliwie. No, jeżeli jednak jego przyjaciel poeta zechce zapłacić za wszystko, sam sobie o tym przypomni.

Pan Wiktor szedł powoli. Odkłaniał się znajomym. Wielu z nich mówiło: Świetnie pan wygląda, dawno pana nie widziałem! I ich nazwiska były w kalendarzach. Nazwiska tych, którzy mówili: dawno pana nie widziałem.

Jeżeli przyjaciel poeta odda mu cały dług, kupi jutro wszystkie fiołki dziewczynie na Cwjetnym Placu. Piękne oczy ma ta mała, zupełnie, jak jej kwiaty. Pan Wiktor uśmiechnął się do siebie.

Jego przyjaciel poeta mieszkał w szarej kamienicy. Właściwie wszystkie domy na tej ulicy były szare. Może dlatego, że słońce już zaszło. Wiktor wchodził po schodach. Liczył stopnie pomiędzy jednym piętrem, a drugim. Było ich trzydzieści trzy. Jego przyjaciel poeta mieszkał na poddaszu.

— Do pana poety — oznajmił kobiecie, która mu otworzyła.

— Pan jest krewnym? — zapytała.

— Coś w tym rodzaju — uśmiechnął się pan Wiktor.

— A — uśmiechnęła się uprzejmie kobieta, patrząc na jego złoty łańcuszek przy kamizelce. Wzięła z jego rąk kapelusze i szepnęła.

— Już od pół roku nie płacił mi za mieszkanie.

— Zalatwimy — powiedział pan Wiktor.

Kobieta spojrzała na fiołki.

— Proszę — pan Wiktor się skłonił. Podał jej oba bukietki. — To dla pani. A on?

— W pokoju, drogi panie — ładnie powiedziała kobieta. Otworzyła jakies drzwi. Weszła na palcach. Pan Wiktor stanął w progu.

— Umarł przed dwoma godzinami — wyszeptala kobieta.

— O! — powiedział półgłosem zdziwiony pan Wiktor. — Jak to? Mnie też jest winien. Przez trzy lata u mnie jadał.

— Przecież pan jest jego krewnym.

— Tylko znajomym.

— Kto więc zapłacił mi za mieszkanie? — zawołała kobieta.

— Nie wiem — pan Wiktor wzruszył ramionami. Był szczęśliwy, że nie wspominał o dzisiejszej uroczystości.

Ale kobieta sama zaczęła:

— Miał dzisiaj dostać pieniądze.

— I? — wyrwało się panu Wiktorowi.

— Wszystkie pieniądze przejął zakład pogrzebowy.

Ktoś zadzwonił. Kobieta poszła otworzyć. Do pokoju wbiegła jasnowłosa dziewczyna. Zatrzymała się. Spojrzała na łóżko. Potem na kobietę:

— Umarł przed dwoma godzinami — powiedziała kobieta.

Dziewczyna wciąż jeszcze stała. Potem podeszła do łóżka. Ukłękła. Plecy jej drżały. Włosy rozsypany się na odkryte stopy nieboszczki.

Wyszedł księżyc. Oświetlił białą sznurkę pod oknem na przeciwko.

Pan Wiktor wyszedł. Na schodach spotkał grabarza. Nieśli bardzo drogą trumnę.

— Dla kogo? — zapytał.

— Zmarł jakiś młody poeta.

— Dla niego?! — znacząco kiwnął głową. — Znałem go. Kiedy pogrzeb?

— Będzie w gazetach. O sławnych ludziach zawsze się mówi jak umarł.

— Byliśmy przyjaciółmi! — krzyknął za nimi pan Wiktor.

Na ulicy stał czarny karawan. Wokół niego zebrano się kilka kobiet. Pan Wiktor przystanął. Pchały się. Coś szeptały. I pan Wiktor ruszył przed siebie z podniesioną głową.

— Właściwie nic nie straciłem — myślał. — Drobiazg. Nie kupię kwiatów dziewczynie na Cwjetnym Placu. Dziewczyna mojego przyjaciela poety jest ładniejsza. Dziewczyna na Cwjetnym Placu ma tylko wielkie fiołkowe oczy.

Tłum. z serbsko-chorwackiego

BOŻENA NOWAK

MIRJANA BULJAN (ur. 1931 w Nl-zu) należy do grupy młodych prozai-ków chorwackich, znana przede wszystkim jako autorka opowiadań, tłumaczonych na esperanto, angielski, szwedzki, duński, węgierski, słoweński i szwajcarski.



Andrzej Grun: „Nie ma dla ciebie miejsca” — grafika

# Rowerzysta

Jego długie, jasnobrązowe, pokryte złotymi włoskami uda i łydki migają w blasku słońca. Mięśnie napinają się regularnie. Widać wyćwiczony mięsień czwórgłowy, który w momencie pracy tworzy narosł deformującą skórę, potem łydka wzdyma się i twardnieje jak deska. Szczypty, wysoki. Wygląda na piętnaście, może szesnastę lat. Długie, lekko kręcone włosy spadają co chwila na twarz. Odgarnia je niecierpliwym ruchem, rozczepierzonymi palcami lewej ręki, gestem, który teraz, na skutek ciągłego powtarzania, stał się odruchem podświadomym i być może sam właściciel włosów nie zdaje sobie z niego sprawy. Ciemny blondyn albo jasny szatyn. Między dość gestymi jak na jego wiek brwiami, ściągniętymi do siebie, zapewne w jakiejś poważnej decyzji, wyrażającymi upór, utworzyła się delikatna kreszczka. Ma pełne, szerokie wargi i duży prosty nos, wokół którego błąka się parę piegów. Jego podługie, wielkie oczy są w tej chwili, w pełnym żarze południa, szafirowe. Mruży je, przykrywając ciężkimi rzęsami. Oczy są skupione, wpatrzony w przód. Tak, ma bardzo długie ręce i nogi. W przyszłości to się będzie liczyć. Ręce, jeszcze teraz nieproporcjonalnie w stosunku do reszty ciała zakończone szerokimi, poranionymi dłońmi o obryzionych paznokciach — mocno

zaciśnięte na kierownicy. Po- ca się, bakelitowe ręczki mogą się łatwo wysliznąć, przy tak trudnej jeździe. Rower jest szalenie stary. Por-dziewiała ręczka ręcznego hamulca spełnia funkcję ozdóbki bo nie widać nigdzie linki ani szerek, torpeda nie działa, prawdopodobnie pościerały się kulki, nie ma również dzwonka, lampy. Z jednego pedała została tylko metalowa oska, która wysuwa się po każdym wstrząsie spod obutej w sandał stopy. Scentrowane koła, pozbawione niektórych szprych tańczą po piachu. Ten pojazd, ze swoim uniesionym za wysoko siodełkiem, którego nie da się poprawić, poobijaną i garbatą ramą, zupełnie niepotrzebną osłoną zardzewiałego łańcucha — wygląda jakby dziesięć lat temu służył do skoków (po molo, z rozpedu) w morze. Jedyną rzeczą spełniającą, prawdziwą swoją funkcję jest umieszczony z tyłu bagażnik, zawierający ułożone w kostkę koszulę i spodnie. Niebo jest bładniebieskie. Powietrze drga. To jeden z tych przy-lacających upałów, jakie zdarzają się niekiedy w lecie, trwają parę tygodni, odbie-rają się nawet najsilniejszym, upałów-kłesk o których się mówi w prasie, radio, tele-wizji.

Jego spoczone ciało błysz-czy, najwięcej cieczy zbiera się w okolicy pępka, gdzie skóra tworzy drobniutkie fal-

dy. Na ramionach i plecach widać świeżą opaleniznę. Chłopak musi więc być w dro-dze dość długo. Jest skupio-ny, napięty. Te leśne drogi — niedrogi, pełne korze-ni, dziur, piachu, kolein. Chwileńka nieuwagi — wtedy trzeba umieć dobrze padać, żeby nie uszkodzić ciała i ro-weru. A on musi jechać szybko. Musi i dojechać — to się czuje w każdym ruchu jego młodego ciała, w zasty-glej, lekko wykrzywionej twarzy. Jedzie odwieźć ciężko chorą matkę, która le-ży po wypadku w odległym szpitalu. Jedzie zawiadomić pogotowie, że siostra rodzi. A może spieszy powiedzieć ojcu, że przyjechał krewny zwrócić swój dług, że brat ukradł wszystkie oszczędności i zbiegł. To jest niemożliwe. Tak jak niewarte uwagi są tłuste kurapatwy, które pło-szy, bzyżące koniki polne, moły, z których jeden siadł mu na ramieniu. Ważny jest tylko on sam, jego wysiłek, jego ruch i upór w dążeniu do celu. Teraz jedzie szeroka droga, wśród pół wymar-lych od upału. Niektóre od-cinki są wysypane żużlem; wtedy kaszle wypluwając piach zgrzytający w zębach. Niektóre odcinki są (nie wiadomo dlaczego i po co) wy-brukowane kocimi łbami; wtedy hoł się o rower, nie troszczy się natomiast o swo-je zmęczone ręce, które mu-szą trzymać cały ciężar ciała i pojazdu, konwulsyjnie skac-zącego po wypukłych kamie-niach. Droga kończy się szczątkami drewnianego most-ku, który został pewnie znie-siony przez wiosenną powódź. Chłopak chwilę szuka brodu, bierze rower na ramię, prze-chodzi bardzo ostrożnie po kamienkach pokrytych cienką warstwą wody. Kiedy jest na środku, patrzy chwilę na jej lustro. Z tego spojrzenia można wywnioskować, że miałby ochotę się wykapać,

ale rozumie że to niemożli- we, że względu na stratę czasu a głównie siły. Ślady na brzegu rzeki wskazują, że była tu kiedyś głębia. Chło-pak właśnie podnosi się z sio-delka, droga będzie prawd-o-podobnie szła w górę. Tak, właśnie tak. Staje na pedaly coraz ostrzej, co okazuje się bardzo kłopotliwe bo jedna noga ześlizguje się z nagłej oski. Teraz jedzie zakosami, podrywając rower wyrzutami całego ciała. Lepiej by było zejść i pchać. Ale czasem łatwiej jest uczynić większy wysiłek niż zmusić się do mniejszego. Mniejszy wzgó-rze zaczyna się powoli rozpę-dzać. Jego ruchy są oszczędne; minimum wysiłku, maksy-malne efekty. Dotychczas od-dychał przez nos, regularnie. Ale obecnie jest już zmęczo-ny, usta rozchylają się wbrew woli, dyszy lekko, niedotle-nienie płuc.

Oto jedzie przez pole ku-kurydzy, ścieżka niebawome wąską, krętą, wyboisto-dziur-zastą. Suche, blyżające liś-cie wkręcają się w szprychy biją w twarz, słychać szum i trzask. Ścieżka jest tak wąska i zarośnięta, że nie da się przewidzieć kiedy skręci w bok lub w dół. Do tego trzeba bezbłędniego refleksu. On go ma, musi mieć. Na wy-krzywionej twarzy osiada warstewka potu i kurzu. Oczy są trochę przekrwione, praw-dopodobnie ostre drobinki do-stały się pod powieki. Jest wściekły z powodu much i komarzy. Są tak bezczelne, że wpadają same do ust, oszu, nosa. Najgorzej jest z odstonie-tymi plecami. Zabicie gza może kosztować upadek. Ścieżka rozszerza się właśnie, widać asfaltową szosę. I wtedy za-czynają się wściekle, przycza-jone gałęzie zostawiające bia-łe i czerwone rysy na zmęczo-nym, opalonym ciele. I osły, które czeplają się wszystkie go, ciągnąc gwałtownie w swoją stronę. Najdokuczli-

wsze są jednak pokrzywy, ros-nące tak gęsto z obu stron. Chłopak chwycił kierow-nicę bardziej w środku, naj-mocniej poparzył ręce (miał już przedtem kilka-rotnie skupiska pokrzyw i ostów, ale żadne z nich nie było tak złośliwe i skłę-bione). Pokrzykuje ochryple, nie dlatego, że się boi po-krzyw, ale by lepiej znieść ohydne pieczenie. W poprzek drogi zwalone drzewo; całe szczęście że powoli jedzie. Wspina się po jego pniu i rozłożystych gałęziach, tasz-cząc za sobą rower. I oto wyjeżdża na szosę, z górką, rozglądając się uważnie, do-strzegając podążając ciężarówkę, jego lewa noga spada błyska-wicznie na przednią oponę, tuż przy końcu widełek, gu-ma piszczy, zahamował po raz pierwszy od chwili gdy go obserwowujemy. Jedzie szosą pod słońce i pod wiatr, praw-nie oślepiony, staje na pe-daly, asfalt cuchnie i tu po raz pierwszy można zauwa-żyć, że większość pracy przy-pada na jedną nogę, przy-puszczalnie, w drugą chwycił go kurez już dużo we-z-śniej. Właśnie mija zakręt, już jedzie szybko, bez wysi-łku z wiatrem i słońcem w plecy. Rozgląda się czujnie, jakby czegoś się obawiał. Ależ tak, jego pojazd bez hamul-ca i pedału, dzwonka, może być w każdej chwili skonfi-skowany przez odpowiednie organy. Może nie posiada też karty rejestracyjnej. A jed-nak jedzie. Kiedy zauwa-ża sklep w biegu zeskakuje z siodełka, prawie kuca, zapo-mniął o zmeczeniu nóg, pier-wsze parę kroków robi za-taczając się. Rower ustawia pieczołowicie w cieniu, po krótkim wahanu zabiera z bagażnika rzeczy widząc dwóch facetów w podartych czapkach. Wchodzi. Wie, że już po chwili wypoci cały wypły plyn, a nawet więcej i że będzie mu się gorzej je-

chać. Ale nie może inaczej. Uśmiecha się lekko. Wszystko wskazuje, że jest u kresu dro-gi i postanowił sobie wynagrodzić wysiłek, przynajmniej w ten sposób.

— Owoce pliny? — pyta.

Bujna, niestara sklepowa pa-trzy na niego z ironią.

— Oranżada?

— W taki upał? Wszystko wypite.

Chłopak chwilę się waha a potem jakby się przelamując rzuca:

— Piwo?

Sklepowa patrzy teraz na nie-go krótko, taksując. Siega pod ladę. Chłopak pije drob-nymi łydkami, nie idzie mu. Sklepowa przygląda się jego wklesłemu brzuchowi i wypukłej pierści, przygląda się trochę macierzyśko, trochę dziewczęco, podczas gdy on po-patruje w okno gotowy wy-skoczyć w każdej chwili gdy ktoś zechce zabrać rower, ten zużyty gruchot, na który nikt nawet nie spojrzy. Ale on się tego nie domyśla.

Przed sklepem wciąga spodnie i koszulę, są to rzeczy no-we, chyba nie używane na co dzień. Małym, zielonym grzebykiem przeczesuje włosy, długie i miękkie. Teraz widać wyraźnie że jest już niedaleko celu. I jeszcze wy-raźniej, że będzie musiał po-kończyć powrotną drogę po ciemku. Będzie gwał wśród dziur, kolein, bez hamulca i światła, skupiony i jeszcze bardziej uważny niż w dzień i będzie czuł w mięśniach po-przednio wykręcone kilome-try. Aż jego oczy przyzwyczają się do nocy, przestaną zachodzić łzami a przyjemny chłód zładzi ostrą opaleniz-ną. Aż trafi w jakąś wyrwę (prawdopodobnie tego zda-rzenia wynosi niemal jedność) wtedy upadnie umiejętnie ale głównie tak, żeby utra-ować rower na którym on je-dzie może lepiej i szybciej niż chłopcy w jego wieku na „Sportach” i „Maratonach”.

## W sprawie tzw. komunikatywności

Przed trzynastu laty, w roku 1957, ukazał się u nas pięknie wydany zbiór utworów Oskara Wilde'a pt. „Eseje, opowiadania, bajki, poematy prozą”. O ile mnie pamięć nie myli, książka ta przeszła bez większego echa w kregach czytelniczych i trudno byłoby zainteresowanie nią porównać do tego, co dzieje się aktualnie wokół głośnego „Ulisseja” Jamesa Joyce'a. A szkoda. Mogę bowiem zaryzykować twierdzenie, że ci, których zwabił rozgłos ostatniego bestsellera, a którzy rychło odłożą go zrażeni trudnościami tej lektury, przebrnęliby przez nią o wiele łatwiej, gdyby znali właśnie książkę Oskara Wilde'a. Skąd bierze się takie przypuszczenie? Po prostu stąd, że książka Wilde'a traktuje w znacznym stopniu o nowoczesności w sztuce, a w literaturze w szczególności, i jest w takim samym stopniu prekursorska w zakresie teorii literatury, jak książka Joyce'a w zakresie praktyki.

W eseju o intrygującym tytule „Dusza człowieka w socjalizmie” Oskar Wilde pisze: „Publiczność... bezustannie żąda od sztuki, aby była dostępna, aby głaskała jej gusta, aby schlebiała jej absurdalnej próżności, aby mówiła o tym, o czym już mówiono poprzednio, aby pokazywała to, czego ustawicznie oglądanie powinno nużyć już od dawna... A tymczasem sztuka nie powinna nigdy starać się o to, aby być dostępną. To publiczność powinna starać się o swoje artystyczne wykształcenie. W tym cała różnica. Gdyby powie dziano uczonemu, że wyniki jego badań i wnioski, do których doszedł, powinny być takie, aby nie naruszały powszechnego wyobrażenia o danym przedmiocie lub nie uraziły powszechnych uprzedzeń, albo nie zranili wrażliwości ludzi, którzy niczego o nauce nie wiedzą — i gdyby powiedziano filozofowi, że ma pełne prawo do snucia swoich rozważań w najwyższych sferach myśli, ale tylko pod warunkiem, że dojdzie do tych samych sądów, jakie wygłaszają ci, którym wszelkie sfery myśli są ob-

ce — no, to dzisiaj już ten uczone i ten filozof potężnie byłiby tym ubawieni. A jednak doprawdy nie tak wiele lat minęło od czasu, kiedy zarówno filozofia, jak i nauka poddane były brutalnej publicznej kontroli”.

I dalej, w formie podsumowania: „...To, co jest prawdą o sztuce, jest też prawdą o życiu. „Człowiek, który nie myśli samodzielnie, w ogóle nie myśli. Jest ogromnym egoizmem, gdy ktoś żąda od swego sąsiada, aby myślał w ten sam sposób co on, i miał takie same poglądy. Dlaczegoż miałby mieć takie same? Dlaczegoż miałby myśleć, najprawdopodobniej będzie myślał odmiennie. Jeżeli myśleć nie potrafi, jest potwornością żądać od niego jakiegokolwiek myślenia”.

Niechaj Czytelnicy darują mi ten przydługi cytat. Trudno byłoby bowiem znaleźć odpowiedniejszą wprowadzenie do garści uwag, jakimi chcę się podzielić na marginesie rozważań o tzw. komunikatywności. Rzecz znamienna: powyższe słowa napisał Wilde w roku 1890. Tak więc każda epoka ma podobne problemy, i od tamtego czasu nie tak wiele znów się zmieniło. Mamy wszyscy pewne nawyki, upodobania, schematy myślowe, z którymi trudno nam się rozstać. Oczywiście, wiele zależy od otoczenia, w którym wyrastamy, od szkoły, która kształtuje nasz smak artystyczny, od środowiska, w którym obracamy się jako dorośli. Nie wstydzimy się do tego przyznać: wszyscy jesteśmy po trosze tradycjonalistami i odnosimy się nieufnie do każdej nowości. I tu znów paradoks: o ile stosunkowo łatwo dajemy się przekonać do zdobyci techniki czy cywilizacji, o tyle podobnie zdobyć sztuki traktujemy jako zamach na nasze o niej poglądy.

Postużę się przykładem z dziedziny bardziej w tej chwili popularnej niż literatura, mianowicie z dziedziny filmu. Otóż powstaje obecnie wiele filmów awangardowych, które znajdują zrozumienie tylko wśród nielicznych odbior-

ców. I rzecz przedziwna: filmy te zdobywają bardzo często najwyższe nagrody na międzynarodowych festiwalach. Czy chodzi tu tylko o opinie snobów lub cmokierów? Warto się chyba nad tym zastanowić.

Podobnie z literaturą, która zresztą wyprzedza, czy raczej — poprzedza twórczość filmową. Przywykliśmy do książek potocznych, łatwych i przyjemnych w czytaniu, z ciekawą akcją, prosto skonstruowaną fabułą. Książek, których bohaterowie obracają się wśród różnych wydarzeń świata zewnętrznego i biorą udział w tych wydarzeniach. A tu nagle pojawiają się utwory, które burzą nasze wyobrażenia o literaturze. Utwory bez akcji, bez fabuły, albo mówiąc ściślej — z akcją i fabułą zwróconą „do wewnątrz”. Ich bohaterem jest coraz częściej świat wewnętrzny człowieka, jego rozterki i dramaty, jego próby odnalezienia się we współczesnym, „zewnętrznym” świecie. Tam właśnie, w tym wnętrzu, niejako w ukryciu, toczy się akcja i rozgrywa fabuła, niejednokrotnie bardziej frapująca od tej, którą przynosiły książki dawniejsze. Warto zrobić trochę wysiłku, aby tę rzecz zrozumieć. Aby uświadomić sobie, dlaczego wielu współczesnych pisarzy pisze właśnie tak, a nie inaczej. W sztuce obowiązuje postęp, tak samo jak w życiu. Równocześnie zaś sztuka tego rodzaju, takie książki są swoistym antidotum na te niebezpieczeństwa, które niesie postęp; biorą w obronę człowieka przed zmechanizowanym światem, starają się ocalić jego indywidualność, odmiennostwo, człowieczeństwo, mają więc w ostatecznej konsekwencji charakter głęboko humanistyczny.

Podobnie jest z poezją. Przy czym tu jesteśmy jeszcze bardziej uczuleni, niż w przypadku prozy. Każdy tzw. utwór nowoczesny godzi w nasze zakorzenione sympatie, gniewa nas i oburza. A przecież poezja była zawsze najczulszym instrumentem, wewnątrz nym sejsmografem twórcy. Cóż w tym dziwnego, że sejsmograf ten tak żywo reaguje na złożoności współczesnego świata? Że każdy z poetów stara się — w myśl pięknej definicji Norwida — „odpowiednie dać rzecz słowo”? I nazwać tę rzecz po swojemu, tak, jak tylko on ją widzi, odczuwa i przeżywa? Zastanówmy się: przecież w sztuce zawsze leżyła się tylko ta odrobina indywidualności. A my chcemy pozbawić jej piszących, nagiąć ich do naszych gustów i upodobań.

Wróćmy jednak do sprawy komunikatywności. Myślę, że nie jest z nią tak źle, jakby się z po-

czątku zdawało. Jeśli tylko uświadomimy sobie elementarne założenia sztuki, i to, że może ona być wieloznaczna, połowa wysiłku jest już za nami. Reszta zależy od naszej dobrej woli. Dostrzegam jej coraz więcej, choćby w doborze recytacji na ogólnopolskie konkursy recytatorów. Ich uczestnicy sięgają coraz częściej po wiersze współczesne. Oczywiście, wiele zależy tutaj, jak zresztą w każdej dziedzinie, od umiejętnego zapropagowania, wyjaśnienia, rozbudzenia zainteresowań i zamiłowań. Taką piękną akcją prowadzi na przykład od paru lat Klub Poetycki Związku Młodzieży Wiejskiej, redakcji „Nowej Wsi” i Ludowej Spółdzielni Wydawniczej, która wydaje „Bibliotekę Poetów XX wieku”. W skład tej „Biblioteki” weszło już wiele zbiorów poetów współczesnych. I cóż się okazuje? Oto przy powszechnym niemal wyrzekaniu na niezrozumiałość dzisiejszej poezji, po tomiki tej serii sięga niemal dziesięć tysięcy prenumeratorów. To właśnie miałem na myśli, mówiąc o rozbudzeniu zainteresowań i umiejętnym zapropagowaniu.

Tymczasem często słyszy się opinie, że dzisiejsza młodzież, że czytelnicy naszych bibliotek nie

interesują się wierszami, po czym przechodzi się nad tą sprawą do porządku dziennego. A jakież to wdzięczne pole do działania dla nauczycieli, bibliotekarzy, pracowników „Domu Książki”, klubów „Ruchu” i innych instytucji kulturalnych.

Żeby zaś felietonu o komunikatywności nie kończyć za poważnie, lub co gorsza — niekomunikatywnie, pozwolę sobie przytoczyć krótki wiersz znanego, niezwykłego już poety i satyryka, Benedykta Hertzka pt. „Odpowiedź wyroczeni”:

„Pewnego śledziennika ogromnie  
to drażni,  
że niektórzy poeci są tacy poważni:  
piosenek, wierszy prostych nie  
chcą pisać wcale,  
wołą przemawiać górną  
i niezrozumiałą.  
Podobnie wyrzekali: dawna,  
bardzo dawno  
Grekowie w starych Delfach  
na wyrocznię sławną.  
A ona im odrzekła z uśmiechem  
niebieskim:  
— Gdybym gadała prosto,  
zabrakłoby treści”.



## Przeszłość i terażniejszość

Rzekł kiedyś Cycero, że historia jest nauczycielką życia i odtąd przez całe stulecia chlubią się dziejopisowie, że ich misją jest wielka społeczna dydaktyka, ludząc siebie i innych nadzieją, że zgłębienie tajemnic przeszłości stanowi rękojmię ustrzeżenia się od powtórzenia raz popelnionych błędów. Doświadczenia nie tylko czasów współczesnych rozwiały te piękne złudzenia i chociaż dalecy byliśmy od niedoceniań istotnych związków przeszłości z terażniejszością, coraz częściej dostrzegamy, że nie tyle i nie tylko historia jest nauczycielką życia, ale życie jest... nauczycielem historii. Wzajemne oddziaływanie są tu obustronne, a ich śledzenie może być dla badacza pasjonującą przygodą intelektualną. Pozostajemy jednak dziś tylko w kręgu zagadnień społecznego oddziaływania historii.

Nawet pobieżna znajomość dziejów naszej kultury u-prawdopodobnia pogląd, że ów społeczny rezonans dziejopisarstwa nie dokonuje się jedynie bezpośrednio, na drodze lektury naukowych dzieł

historycznych przez ludzkie zbiorowości. Dawno — i chciałoby się rzec, niestety — minęły te czasy, kiedy to zwyczajny czytelnik w wolnych chwilach zagłębiał się w poważne dzieła naukowe. Z jednej strony w związku z rozwojem nauki historycznej — a pewnie też i zanikiem literackiej kultury dziejopisów — język jej uległ znacznemu utrudnieniu, z drugiej zaś — zmienił się wielce społeczny krąg czytelników. W upowszechnianiu historycznych treści coraz częściej wyręczają badaczy przeszłości inni ludzie, przyjmujący jakże często — w zależności od tego kim są — odmienne niż uczeni kryteria w stosunku do przeszłości. Dziś owym pośrednikiem pomiędzy nauką historyczną, a szerokimi kręgami zainteresowanych przeszłością jest zwykle publiczność historyczna i — wielce odcień różny — popularyzator historii (którym obydwojgiem najczęściej był sam badacz).

Nie chciałbym w niniejszym kwestionować oryginalności wizji przeszłości proponowanej przez literaturę, ale

jest dla mnie niewątpliwie, że stosunkowo często bywa ona jak najściślej uwarunkowana przez naukę historyczną. Wiadomo o wpływie prac historycznych Ludwika Kubali — i nie tylko jego — na piarstwo Henryka Sienkiewicza. Niedawno przekonująco wykazano, jak doniosły wpływ na twórczość Stefana Żeromskiego wywar

kiedy albo historyk staje się literatem (zdarzało się to dość często, ale nie zawsze z korzyścią dla literatury, choć niekoniecznie z uszczerbkiem dla historii — przykładem twórczości literackiej Józefa Szujskiego czy po wieszcza niemieckiego historyka Felixa Dahna), albo — gdy literat... zostaje historykiem. Przygotowanie Hen-

ści mają tę wspólną cechę, że posiadają znacznie większą nośność w porównaniu z naukowym piarstwem historycznym. One też, docierając do szerokich kręgów społecznych, wpływają na historyczną świadomość ludzkich zbiorowości. Częstokroć też w tym celu powstają. Takie właśnie społeczne cele przyświecały zarówno twórczości literackiej Kraszewskiego, jak i historycznemu malarstwu Jana Matejki.

„Społeczne zamówienie na historię, wywołane sytuacją polityczną narodu bez państwa — pisze w swej książce pt. „Matejko i Kraszewski. Dwie koncepcje dziejów Polski” (1969), Wincenty Danek — poza rezultatami naukowymi, popularno-naukowymi, dydaktyczno-podręcznikowymi, wywołało w pewnej mierze podobne, korespondujące ze sobą objawy w zakresie tematyki malarstwa historycznego i takiejże powieści”. Oba artyści zaprezentowali dwie odmienne, aby nie rzec sprzeczne wizje przeszłości narodowej. W wielkim cyklu powieściowym Kraszewskiego odnajduje W. Danek ogólną koncepcję dziejów Polski tkwiącą karmieniami jeszcze w swia-

topoglądzie romantycznym, bliższą tradycji lelewelowskiej niż krakowskim stańczykom. Matejko, który w pierwszym okresie swej twórczości był oskarżany o to, że „tylko ujemne strony dziejów malować umie”, przedzie niebawem do malarstwa narodowej chwale.

„Obserwujemy więc niesporny fakt oddziaływania, a nawet budowania historycznej wyobraźni narodu przez ludzi sztuki” — podkreśla W. Danek. Uczony ma zapewne rację, gdy pisze, że żadna z powieści Kraszewskiego, może poza „Starą Baśnią”, „nie zaważyła tak na historycznej świadomości narodu, jak wielkie płótno Matejki czy „Trylogia” Sienkiewicza, ale nie wiem, czy słuszności tego twierdzenia nie podważałaby niezmiernie szeroka poczytność Kraszewskiego, jaką obserwujemy obecnie. Warto byłoby to zbadać. Jest tu w ogóle wiele do dokładniejszego zbadania, jeśli pragniemy dojść do poznania świadomości historycznej w zmieniającym się biegu przemian. Książka W. Danek jest ważnym krokiem na tym polu.

JOZEF GRZELAK

## O społecznej historycznej świadomości

ty dzieła Szymona Askenazego i jego naukowej szkoły. Oczywiście — nie trzeba tego zaznaczać — żaden z tych pisarzy nie był wyłącznie przekazywaniem treści zapożyczonych od historyków, ale nie ulega najmniejszej wątpliwości, że stanowiły one niezmiernie istotny komponent ich własnych artystycznych wizji przeszłości. Sprawa komplikuje się wówczas,

ryka Sienkiewicza do pisania „Krzyżaków” było niemal badawczą pracą naukową. Podobnym przykładem, często niedocenianym, jest stosunek do historycznych realiów Józefa I. Kraszewskiego. Wreszcie w roli przekazywacza historycznych treści występuje też niekiedy malarstwo historyczne.

Wszystkie te rodzaje przekazywania historycznych tre-

# Chyba dobry ROK

**CIĄGLE JESZCZE, CHOĆ OSTATNIO CORAZ RZADZIEJ, PRZYSŁU CHUJEMY SIĘ W DYSKUSJACH O TEATRACH STUDENCKICH WYWODOM KRĄGLEJĄCYCH PĄWÓM NA TEMAT: KIEDYS TEATR STUDENCKI BYŁ — (TU SZEREG CECH I OKREŚLEŃ NIEZWYKLE POZYTYWNYCH) — DZISIAJ JEST — (TU SZEREG CECH I OKREŚLEŃ, KTÓRYCH JAKO POZYTYWNE POTRAKTOWAĆ NIE SPOŚÓB). ZA LAT KILKA LUB KILKA NAŚCIE DZIS SMUKLI CHŁOPCY I WIOTKIE DZIEWCZYNY, JUŻ NIE TAK SMUKLI I NIE TAK WIOTKIE, ZNÓW BĘDĄ MÓWILI, ŻE TEATR STUDENCKI KIEDYS BYŁ — (TU SZEREG CECH I OKREŚLEŃ...) ITD. ITD.**

Zostawmy zatem z boku sentymenty, poniechajmy porównań. Teatr, o którym mowa, jak każda chyba grupowa działalność amatorska, jest przedmiotem balwochwalej niemalże miłości ludzi, którzy go tworzą i już różnica lat kilku, nie mówiąc o kilkunastu, uniemożliwia obiektywną ocenę tego, co było z jednej — i tego co jest — z drugiej strony. Popatrzmy więc na to, co działo się w łódzkim teatrze studenckim w roku akademickim 1969/70, pamiętając, że jego widzowie to przede wszystkim studenci, którym „kundla, sobaki paskudnego nad wyraz, nie spręda się jako bernarda” (że zacytuje tu fragment przedstawienia „Pstraga”). I choć zazwyczaj nie cyfry świadczą o tym co dobre i istotne w teatrze, to w tym przypadku rzecz ma się akurat odwrotnie. W środowisku pracuje siedem zespołów teatralnych i trzy kabaretowe — w tym siedem zespołów pod bezpośrednim mecenatem Zrzeszenia Studentów Polskich. W ciągu ośmiu miesięcy miały miejsce 144 przedstawienia, a obejrzało je około 27 tysięcy widzów w Łodzi, Lublinie, Gdańsku, Zielonej Górze, Koszalinie, Piotrkowie, Częstochowie, Oporowie, Nowej Hucie, Szczecinie, Bielsku Białym, Białymstoku, Gliwicach i Kaliszu.

Momentem niezwykle ważnym, już nie tylko dla teatrów łódzkich, ale, jak to widać z perspektywy kilku miesięcy, dla całego ruchu teatralnego studentów w Polsce, były grudniowe VI Łódzkie Spotkania Teatralne. Przedstawienia, które pokazano publiczności naszego miasta nie

ubiegały się o laury, jako, że zrezygnowano z konkursu, wychodząc ze słusznego chyba założenia wyeliminowania atmosfery „kto lepszy”. Stanowiły one demonstrację aktualnego stanu rzeczy.

Jesienny Międzynarodowy Festiwal Teatrów Studenckich we Wrocławiu pokazał, że teatr nasz zgubił gdzieś dawną spontaniczność, nowatorstwo formalne i co najważniejsze, okazało się, że przedstawienia polskie jako głosy w sporach ideowych i artystycznych, które ogarnęły młody teatr światowy są mało istotne. Potraktowano zatem grudniowe spotkania jako okazję do zasadniczych i szczerých dyskusji — stąd tematyka burzliwych rozmów: „Współczesność w teatrze”, „Polski teatr studencki czy współczesny i czy zaangażowany”, „Rola i zadania teatru studenckiego”. Rozmowami tymi kierowali byli i aktualni twórcy tego teatru oraz działacze mecenasa ruchu — ZSP — Jan Skotnicki, Bogusław Litwiniec, Marek Koterski, Eugeniusz Mielcarek. Generalny wniosek to ten — rację bytu ma tylko teatr świadomy swojego miejsca w świecie, w którym egzystuje, włączający się w pryncypialne dyskusje społeczne i polityczne. Nie miejsce w nim na puste deklaracje czy tanie uciechy.

Ile dały teatrom łódzkim rozmowy grudniowe, niech zaświadczą efekty obecności ich przedstawień na festiwalach i przeglądach, które odbyły się później. Powstały w 1969 roku przy Klubie Studentów w Łodzi „Teatr 77” na Festiwalu młodych zespołów w Częstochowie „Start 70” zdobył I nagrodę za przedstawienie oparte na listach, dziennikach i wierszach A. Błoka pt. „Rosjo, żono moja” oraz nagrodę za scenariusz i reżyserię. Przedstawienie to było niejednokrotnie jeszcze nagradzane (I nagroda w łódzkich eliminacjach Leninowskiego Konkursu Teatrów Poezji, Najciekawszy Spektakl Centralnego Pokazu Teatrów Amatorskich w 100-lecie urodzin Lenina w Nowej Hucie).

W maju miał miejsce Międzynarodowy Festiwal Teatrów Krajów Socjalistycznych w Lublinie. Wzięły w nim udział cztery zespoły łódzkie. STS „Cytryna” wrócił z II nagrodą zespołową za przedstawienie „Szymona Słupnika” Andrzeja Marczewskiego oraz nagrodą za reżyserię i aktorstwo, „Teatr 77” z III nagrodą zespołową za przedstawienie „Rosjo, żono moja”, ST „Pstrąg” z nagrodą za reżyserię i aktorstwo w przedstawieniu sztuki Helmuta Kajzara „Paternoster”. Poza konkursem STP „Asonans” z Politechniki Łódzkiej przedstawił program poetycki „Czas otwartych serc” (I nagroda wspólnie z „Teatrem 77” w łódzkich eliminacjach Konkursu Leninowskiego). W Lublinie dowcipkowano nawet, że jest to festiwal teatrów łódzkich.

Również w maju odbywał się w Gdańsku Przegląd Teatrów Studenckich Uczelni Technicznych. Teatr ZMS Politechniki Łódzkiej „Fonem” za przedstawienie „Aktu przerywanego” T. Różewicza otrzymał nagrodę zespołową i nagrodę aktorską. Teatr WAM „Verbum” za spektakl „Mieszkańcy pomników” M. Z. Bordowicza otrzymał I nagrodę czteroczwartego Festiwalu Zespołów Artystycznych Uczelni Wojskowych w Łodzi. Wydaje się, że sporo dla wyraźnego ożywienia tegorocznych poczynań teatralnych zrobiły inicjatywy Komisji Kultury ZO ZSP: powołano Komisję Artystyczną w składzie — Zofia Borkiewicz, Jan Skotnicki, Marek Koterski, opiniującą i dyskutującą o programach zgłaszanych przez poszczególne zespoły, działa, choć na razie w niewielką częstotliwością, Studio Łódzkich Teatrów Studenckich „My w teatrze”.

Wyniki licznych w tym roku festiwalu i przeglądów, chociaż napawają optymizmem, nikogo w Łodzi w stan euforii nie wprowadziły. I słusznie. Stany samozadowolenia są niebezpieczne nawet dla zespołów studenckich. I choć co poniektórzy twórcy, bardziej lub mniej skrycie, cierpią, kiedy nie traktuje się ich samych i tego co zrobili tak poważnie, jak to sugerują posiadane przez nich brody, wasy tudzież przydzielone im nagrody, to wydaje mi się, że słusznie dyskusje po przedstawieniach były bezpartonowe, pozabawione kurtuazji, a brody i nagrody przestawały być w nich argumentami.

Co grały i jakie plany mają teatry łódzkie na rok przyszły?

Jesienią ubiegłego roku miał miejsce mariaż uniwersyteckiego STUL-u z „Pstragiem”. Z obydwu teatrów przechodzących ostatnio pewien „spadek formy” powstał prężny zespół, który zrealizował trzy przedstawienia: sceniczną adaptację poematu Eliota „Ziemia jałowa”, pełną ludowego humoru adaptację opowiadania J. Harasymowicza „Po kołodzie” oraz sztukę H. Kajzara „Paternoster”. Przy „Pstragu” powstała również scena piosenki, która choć nie zdobyła się jeszcze na przedstawienie, to zdążyła już zaznaczyć swoją obecność kilkoma nagrodami na Gieldzie Studenckiej Piosenki w Opolu i Łódzkiej Gieldzie Piosenek i Piosenkarzy. Planu teatru to: „Próba opisaną pewnej kolacji głów...” J. Prewerta i „Rozmowy uchodzące” B. Brechta. STS „Cytryna” zrealizował „Szymona Słupnika” Andrzeja Marczewskiego — barwne ludyczne widowisko o ludziach „robiących” pieniądze na ideal. „Teatr 77” oprócz programu pt. „Rosjo, żono moja” pokazał również interesującą w zamysle mniej szczęśliwą

w realizacji etudę ruchową pt. „Czerwone i czarne”. Przy Teatrze działa scena pantomimy, która występowała z programem pt. „Człowieku!”. Plany teatru to dwa debiuty dramatyczne członków zespołu — „Salon” Ryszarda Bigosińskiego i „Spisek” Zdzisława Hajduka.

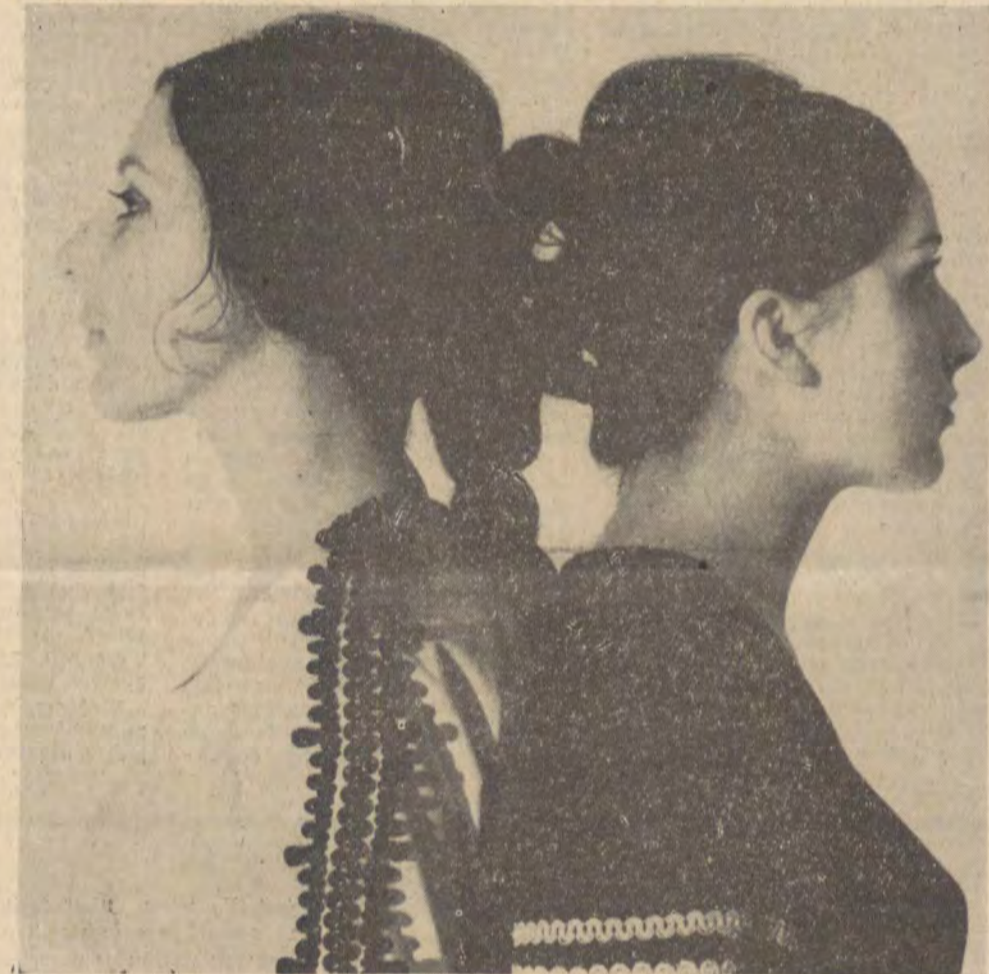
Teatr ZMS PL „Fonem” grał „Akt przerywany” Różewicza, „Karnet balowy” Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, „Szanowni towarzysze potomni” — wiersze Jesienina i Majakowskiego. W przyszłym roku zrealizował będzie „Spektakl” H. Bardijewskiego i „Testament” Mesllera.

Teatr PL „Quant” występował z adaptacją powieści T. Nowaka „A jak królem, a jak katem będziesz”. Zamierzenia — to „Osioł” wg Ruybala.

ST „Verbum” grał „Mieszkańców pomników” M. Z. Bordowicza, planuje na rok przyszły „Muszlę” E. Brylla i „Wybór” Ławrieniewa. STP „Asonans”, który interesująco zrealizował program pt. „Czas otwartych serc”, pracuje nad dwoma przedstawieniami poetyckimi zatytułowanymi „Chopin” i „Sydonia”.

Tak wygląda rok akademicki, rok bogaty w rocznice, na które zareagował teatr łódzki i przedstawieniami i trzema koncertami galowymi — Leninowskim, XX-lecia ZSP, XXV-lecia Uniwersytetu Łódzkiego.

Konfrontacją pierwszych realizacji przyszłorocznych będą VII Łódzkie Spotkania Teatralne. Grudniowy przegląd przedstawień pomyślany jest jako podsumowanie roku w polskim teatrze studenckim. Impreza równorzędna staną się spotkania Twórców Teatrów Studenckich. W trakcie spotkań ogłoszone zostaną nagrody Rady Naczelnej ZSP za wybitne osiągnięcia w ruchu teatralnym w roku 1970.



Fot: WŁODZIMIERZ PARYS

JOLANTA MACH

## Witaj, Brazylio!

Cinema novo — nowe kino brazylijskie zawdzięcza swą nazwę temu, że przeciwstawia się wzorom panującym w brazylijskiej kinematografii dotychczas; tj. filmom kosmopolitycznym w treści i formie, naszą dającą przykład Hollywood. Zapowiadają cinema novo były produkowane niezależnie, poza wielkimi wytwórcami, dzieła Nelsona Pereiry Dos Santosa, zwłaszcza nagrodzona w 1964 roku w Cannes „Susza”. Obecnie za najważniejszego przedstawiciela kierunku w jego odgałęzieniu fabularnym uchodzi Glauber Rocha. Jeden z filmów Rochy, „Antonio das Mortes”, mieliśmy okazję oglądać podczas Konfrontacji 69.

Może w żadnym z „nowych kin” — które niemal wszędzie powstają — tak rzadko, jak grzyby po deszczu, nie ma równie silnego związku z ojczystym krajem. Zarówno, z jaką młodzi filmowcy brazylijscy przejęli się dniami

dzisiejszym swojej ojczyźnie, wyróżnia ich wśród innych, sprawia, że krytyka pozwala sobie jedynie, a i to ostrożnie, na porównania z ruchem odnowy filmowej w Czechosłowacji i na Węgrzech. O wyjaśnienie tego wybuchu żarliwego patriotyzmu i zaangażowania społecznego właśnie teraz, w dziesięciolecie 1960—1970, nie jest trudno: sytuacja w Brazylii i przedtem zaostrożona, obfitująca w fakty wyzysku i nędzy, o jakich my nie mamy pojęcia, bynajmniej nie uległa poprawie. Na północnym wschodzie ogromnego terytorium Brazylii znajduje się pozbawiona wody prowincja Sertao. Zamieszkuje ją 27 milionów ludzi, których dochód roczny wynosi 50 dolarów na głowę, i którzy spożywają dziennie 1.644 kalorie; połowa z nich umiera przed ukończeniem 30 roku życia, przeciętnie zaś mają szanse przeżyć, kobiety — 82 lata, mężczyźni 78 lat. Trzy czwarte tej ludności to analfabeci.

Nie jest przypadkiem, że większość filmów cinema novo rozgrywa się w Sertao. Dotyczy to w jednakowym stopniu filmów fabularnych, jak i dokumentalnych — tych ostatnich z ówrodkiem produkcyjnym w Sao Paulo, kierowanym przez Thomasa Farkasa. Suche polaie nędzy w Sertao pulsują bowiem niezwykle intensywnym życiem duchowym. Gdy rząd poprzestaje na bezpłatnym rozdawnictwie mleka w proszku — z darów Sojuszu dla Postępu, lud Sertao szuka pomocy u grasujących tu, jak przed wiekami, cangaceiros i beatos. Ani jedni ani druzdy nie ofiarują zaspokożenia głodu. Dostarczają natomiast dość skutecznych sposobów odwrócenia od niego uwagi, czy jeśli wolicie, możności wyboru, godniejszego niż głodowa, śmierć.

Ocenie ról spełnianej przez cangaceiros daleko do jednoznaczności. Tradycja ma tych rozbójników za szlachetnych, może dlatego, że na tie ciężko pracujących chłopów, przykuty do skrawka jałowej ziemi, zawsze wydawali się i wydają wołni. Cangaceiros zrucili jarmo bezowocnej pracy i nie uznają praw, które ustanowiła i których strzeże policja federalna. Biorą jednak żołąd od wielkich właścicieli ziemskich i zdarza się, że na ich plece nie masakrują lud. Choć sami, powtórzmy, rekrutują się przeważnie z ludu... Rolę cangaceiros bada dokumentalny film — ankieta socjologiczna Paula Gil Soaresa, „Wspomnienie rozbójnika”.

Beatos proponują strawę jeszcze mniej pewną, bo nie zrabowaną, ale wyżebraną, i zamiast walki — wędrówkę do rajy. Raj leży poza granicami Sertao, tam, „gdzie zaczyna się morze”. Do rajy wiodą beatos samozwańcy „mesjasze”, określa się beatos jako współczesnych „mistycznych barbarzyńców”. Fanatyzm cechuje zarówno wyznawców, jak „mesjaszy”, z tym, że drugim nie przeszkadza dbać o chwalebę doczesną. Poświęcony beatos pełnometrażowy film dokumentalny Sergio Muniza, „Lud starego Piotra” opowiada m. in., jak jeden z „mesjaszy” (działający w roku 1925) zabiegał, aby biedacy wystawili mu posąg.

I cangaceiros i beatos mocno wrośli w pejzaż Sertao. Zbyteczne dodawać, jak wsteczne są te ruchy. Historycy powiadają, że — dla przykładu — beatos przez zebraństwo, bierność i ucieczkę od rzeczywistości utwierdzają władzę feudalową w Sertao. Istnieją jednak... Obraz, jaki tworzą, na pół konkretny, a na pół legendarny, nie będzie pełny, póki nie wprowadzimy doń jeszcze jednej postaci: Antonia Das Mortes, zabójcy cangaceirów, zatem do myślnie, obrońcy chłopów. Quasi — Janosika opłakanego przez rząd federalny.

☆

Sertao, jego klimat — dosłownie i w przenośni, uczyniło z filmów fabularnych nowego kina brazylijskiego sztukę ludową. Purysta zarzucił nieści-

łość powyższej konstatacji. Wprawdzie brak dotąd uzgodnionej definicji pojęcia sztuki ludowej, powszechnie jednak przyjmuje się, iż dzieła tej sztuki powinny być robione ręką ludu. Tymczasem filmy cinema novo robia artyści wykształceni. Lecz inne czony definicji, co do których nie ma sprzeczności, pozostają w mocy. Szczególnie pozostaje w mocy czoł, kto wie, czy nie najważniejszy, mówiący, że sztuka ludowa jest sztuką wyzyskiwaną.

Wydaje się, że między rzeczywistością Sertao, a filmami, które karmią się tamtejszą glebą, zachodzi stosunek bezpośredniej zależności. Nie są to filmy, patrzące na Sertao z zewnątrz. Tak podnoszona przez światową krytykę wrażliwość, z jaką Dos Santos maluje w „Suszy” palone słońcem ziemię, ludzi, zwierzęta, ludzi, że sam na sobie doświadczył upału i pragnienia. Ze odczuł ból mięśni, skazanych na bezczynność, daremnie oczekujących wysiłku, który mógłby przynieść chleb.

„Susza” jest prostą opowieścią, przypowieścią prawie. Chłopska rodzina wędruje za wodą, pracą i chlebem. Spotkawszy opuszczony dom, wokół którego rośnie trawa, zajmuje go, a farmer będący właścicielem domu gada z nią zatrudnić ojca przy wypasie. Okrasą nędzne, lecz chwilowo jako tako ustabilizowanej egzystencji, staje się niedzielną wyprawą do miasteczka. Tam ojciec ulega pokusie hazard-



# ÓŁKA książkami

## POWRÓT DUCHÓW

Duchy i zjawy dzięki fil  
mowi i telewizji znów sta  
ły się modne i — jak to  
pisać w przedmowie do  
„Wieczorów Badańskich”  
Aleksander Małachowski —  
stały się cenionymi boha  
terami epoki. I być może  
właśnie dlatego „Czytelnik”  
zdecydował się przy  
pomocni uroczą książeczkę  
Józefa Maksymiliana Bra  
biego z Tęczyna Ossoliń  
skiego pod przydługim ty  
tułem „Wieczory Badańskie  
czyli powieści o strachach  
i upiorach”.

J. M. Ossoliński swoje  
„Wieczory Badańskie” na  
pisał w duchu polskiego  
Oświecenia, chciał niemal  
po Wolterowsku rozprawić  
się z duchami i upiorami,  
przekonać ludzi, że nie  
tym powinni się zajmo  
wać. Ale czy to los, który  
zwykle pisał mu figle,  
czy same duchy, diabły i  
upiory spowodowały, że  
książka nie ukazała się za  
życia autora, który zmarł  
w Wiedniu w marcu 1826  
roku, a dopiero w 1852  
roku dwaj krakowscy wy  
dawcy dzieło jeszcze raz  
przejrzeli, uporządkowali  
i wydali.

„Czytelnik” postarał się  
zbiór ten wydać nader gu  
stownie, w nietypowym  
formacie, maskarkami i  
innymi „strachami” obfi  
cie przez Jerzego Jawor  
skiego ozdobił oraz pió  
rem Aleksandra Małach  
owskiego dokładnie w przed  
mowie i osobie autora ob  
jaśniony, który serdecznie  
polecam nie tylko bibliofil  
om, ale wszem duchy mi  
lującym.

B. M.

„Wieczory Badańskie czy  
li powieści o strachach i  
upiorach” Józefa Maksymi  
liana hrabi z Tęczyna  
Ossolińskiego. „Czytelnik”,  
Warszawa 1970, str. 144, ce  
na: 19 zł.

JAN KOPROWSKI

## Co to znaczy: pisać ciekawie (O felietonach M. Piechala)

Kiedy autor ogłasza w zbio  
rze książkowym felietony,  
drukowane latami na łam  
ach czasopism, nasywa się nieod  
parcie pytanie: czy wytrzymały  
one próbę czasu? Często przecież  
są to wypowiedzi okolicznościowe,  
które tracą swój walor z chwilą,  
gdy okoliczność przemienie. Ież  
to felietonów znakomitych, ale  
właśnie ulotnych, spoczęło na za  
wsze w szpaltach poźólkichykh  
gazet, aby nigdy już nie wydo  
stać się stamtąd na stronie książki.  
Książka, nawet słaba, ma większe  
szanse przetrwania, niżli najlep  
sza gazeta. („Pelagia, uczennica  
diabła” to zbiór a raczej wybór  
felietonów Mariana Piechala, dru  
kowanych latami na łamach „Od  
głosów”, a także innych czasopi  
sm kulturalnych. Ten znany poeta,  
tłumacz i satyryk, który przed ro  
kiem wyprowadził się z Łodzi do  
stolicy (czego mu nie wypominam,  
po prostu stwierdzam fakt), rozpo  
rządza — jak się okazuje — ner  
wem publicystycznym. Piszze zaj  
mująco i posiada dar formułowa  
nia swoich myśli w sposób kon  
kretny i jasny.

Autor, piszący felietony, nie  
musi zawsze mieć rację, chodzi o  
to, aby zawsze miał coś do  
powiedzenia. Można się  
z sądami Piechala nie zgadzać,

ale nie można odmówić mu pasji,  
dociekliwości i wielostronnych za  
interesowań. Piechal, na przy  
kład, uważa, że „Wierna rzeka”  
jest najlepszą książką Stefana Ze  
romskiego, ja głosowałbym raczej  
za „Szyfowymi pracami”. O  
większości utworów Schumannna i  
Schuberta Piechal sądzi, że są czu  
lostkowe i dzisiaj już śmieszne, ja  
natomiast myślę, iż rzecz ta „rzed  
stawia się zgola inaczej. I cóż z  
tego! Niejeden pisze słusznie i ma  
rację ale jest nudny jak flaki z  
olejem. Otóż Piechal nie jest nu  
dny. Piechal potrafi dowodzić  
swoich sądów z pełnym zaangażo  
waniem polemicznym, z uporem  
godnym lepszej sprawy, często —  
mądrze i dowcipnie, a zawsze tak,  
że się jego felietony czyta z cie  
kawością.

„Pelagia, uczennica diabła czyli  
sedno rzeczy” składa się z sześciu  
części, w których autor zgrupo  
wał swoje felietony w cykle te  
matyczno-problemowe. A więc  
najpierw sprawy ogólne: człowiek  
i przyroda, technika i sztuka, czy  
telniectwo książek, granice cyberne  
tyki itp. W części drugiej autor  
rozważa takie zagadnienia jak ta  
lent i powodzenie, tradycje i no  
watorstwo, formę i treść w lite  
raturze, fikcję i autentyzm. Cała  
trzecia część książki Piechala po

święcona została pisarzem już nie  
żyjącym, polskim i obcym, wśród  
nich między innymi Strugowi,  
Peiperowi, Gałczyńskiemu i Se  
byle, a z zagranicznych — Heming  
wayowi i Faulknerowi. Ponieważ  
wielu z pisarzy polskich autor  
znał osobiście, a niektórzy byli je  
go przyjaciółmi, felietony w tej  
części książki mają charakter  
wspomnień. Piechal przypomniał  
tu takich autorów jak Mieczysław  
Braun, Edward Szymański i Grze  
gorz Timofiejew, o których pa  
mięć zanika, niestety, nie tylko  
wśród czytelników, lecz także i  
pośród pisarzy. Część czwartą po  
święcił Piechal malarstwu (blysk  
otliwe felietony o Picassie i Sal  
vadorze Dali), część piątą — oby  
czajom w kontekście przemian  
społecznych, a szóstą czyli ostat  
nią — sprawom młodzieżowym.

„Pelagia, uczennica diabła” pre  
zentuje zatem tematykę różnorod  
ną i dostatecznie rozległą, aby  
zainteresować nie tylko profesjo  
nalistów. Myślę, że jest to cieka  
wa lektura dla każdego oświeco  
nego czytelnika.

Na pytanie, postawione na po  
czątku, czy felietony te, zgroma  
dzone w książce, wytrzymały pró  
bę czasu, odpowiadam: jak najbar  
dziej. Niektórym czas przydał no  
wej aktualności, a są wśród nich  
i takie, które dziś budzą mniejszy  
sprzeciw, niż wówczas, gdy autor  
ogłaszał je w gazecie, co dowodzi  
jego bystrej przenikliwości oraz  
tzw. odwagi.

Marian Piechal posiada tempe  
rament literacki, pisze z fajerm  
i jeśli się nawet myli — nie prze  
staje być ciekawy. Ba! tam gdzie  
się myli — jest właśnie najcie  
kawszy.

M. Piechal: „Pelagia, uczennica  
diabła czyli sedno rzeczy”, Wydaw  
nictwo Łódzkie, str. 261, zł 15.

## Nowe książki

### Z notatnika prowincjusza

Zygmunt Fijas debiutował  
tuż przed wojną w krakow  
skim organie awangardo  
wym „Nasz Wyraz” cyklem  
utworów z osobliwego pogra  
nicza gatunkowego ni to  
etiud, ni to wierszy proza,  
w których przecież z jedna  
kowym natężeniem uderzały  
stopione w oryginalną ca  
łość głęboki liryzm i niezwy  
kła fantastyka. O tych za  
pomnianych, wydawało się,  
źródłach twórczości przypo  
mniała wydana książka „Z  
notatek prowincjusza”, w  
której kapryśny autor, gos  
podarujący zasobami swoje  
go talentu nieogłędnie i z  
marnotrawstwem, dopiero  
teraz zdecydował się zebrać  
liczne utwory, odbiegające  
od obiegowego standardu sa  
tyrycznego, rozproszone na  
łamach czasopism. Dotych  
czasowe bowiem książki Fi  
jasa „Portret z sera” (1958)  
i „O szkodliwości kominów”  
(1965) komponowane również  
z materiałów ogłaszanych w  
prasie, prawdopodobnie jed  
nak projektowane były  
pod presją fałszywie pojmo  
wanego obowiązku przestrze  
gania czystości gatunków li  
terackich, toteż w specyficz  
nie prezentowanym materia  
le tylko w niektórych utwo  
rach można było odczuć pe  
wne, lecz nie zawsze jasne  
napomnienia, bądź poszlaki  
bądź nawet dowody, że twór  
czość Fijasa wywodzi się z  
o wiele szerszych i głębs  
zych przesłanek, niż te, któ  
re zwykło się określać jako  
satyryczny pogląd na świat,  
a nadę wszystko, że nie po  
zwala się bez reszty zam  
knąć w tym osobliwym, bo  
ograniczonym kręgu, który  
określa się ryczałtowo sata  
rą. Jeżeli więc Fijas godził  
się dotychczas narzucać  
swoją konfekcję twórczą ob  
wiedziony zwyczajowymi  
ramkami satyryka, to prze  
cież co bystrzejsi czytelnicy,  
zdolni do rozszyfrowy  
wania znaków szczególnych  
przekazywanych w materia  
le twórczym, mogli się, nie  
ja ko nawet wbrew autorowi,  
utwierdzać w przeświadcze  
niu, że obecują z typem sa  
tyryka podejrzanego, bo pod  
szytym liryzmem. I właśnie  
potwierdzeniem tych prze  
świadczeń stała się książka  
„Z notatek prowincjusza”.  
Jej publikacja była z pew  
nością nieodzownym uzupe  
nieniem dwóch poprzednio  
ogłoszonych książek.

HIERONIM MICHALSKI

## Listy do redakcji

### „Gorzko mi“... czyli kilka słów o krajowej egzotyce

W jednym z ostatnich numerów „Od  
głosów” pojawiła się impresja na  
tematy cygańskie. Tematyka cygańska obfi  
cie zasiała nasze programy rozrywkowe w ra  
dio i telewizji, a nawet takie piosenki „cyga  
ńskie” jak: „Jadą wozy kolorowe”, „Gorzko  
mi” otrzymały na festiwalu skromniejsze,  
ale zawsze wyróżnienia. Co więcej: jednym  
z punktów programu był popis zawodowego  
zespołu cygańskiego „Roma”, któremu uży  
czyła swego talentu m. in. p. A. Osiecka. Wszys  
tko to w ramach jednego VIII Festiwalu w  
Opolu.

Jest sprawą zrozumiałą, że w kraju tak  
ubogim w egzotykę jak nasz, sukcesy J. I. Kra  
szewskiego („Chata za wsią”), J. Flewskiego  
i innych pociegają, zwiastując, że tematyka  
trochę tajemnicza i obca. Nie mam więc wcale  
zamiaru krytykować ani chwalić tych, którzy  
tę tematykę podejmują, bo to sprawa indy

widualna, ale ciekawi mnie cena, jaką my,  
społeczeństwo, za tę „egzotykę” placimy.

Zeby nie być gołosłownym przytoczę kilka  
obserwacji. W każdy wtorek i piątek, a także  
w inne dni, pod halami na placu Niepodległo  
ści promieniuje dwadzieścia pięć do trzydzie  
ści Cyganek. Liczyłem ostatnio bardzo skrupu  
latnie. Są to dziewczęta piętnastoletnie, ko  
biety dojrzałe i stare — wszystkie pozornie  
bardzo czynne, tylko nie bardzo wiadomo, co  
robią. Podobno wróżą. O ile tak, to zapotrze  
bowanie na „usługi psychiczne” musi być w  
Łodzi niewąskie, bo to samo można zauważyć  
na rynku Bałuckim i w innych punktach mia  
sta.

Z własnych też obserwacji, zwłaszcza na  
Dolnym Śląsku, gdzie w Kłodzku, Świdnicy i  
Bystrzycy Kł. oddano całe kwartaly ludności  
cygańskiej stwierdziłem, że stan tych ulic i  
pomieszczeń jest bardzo kiepski wskutek de  
wastacji.

Dlatego też „egzotyka” tych piosenek i te  
maczków literackich wydaje mi się wątpliwa,  
po prostu sztucznie podtrzymywana, realia zaś  
procesu resocjalizacji są dotychczas nikłe.

Chciałem zaproponować Szanownej Redakcji,  
by tej sprawie poświęciła trochę uwagi i sklo  
niła któregoś ze swych współpracowników do  
opracowania wyczerpujących sondażów ile nas  
ta rzekoma i dość uciążliwa „egzotyka” ko  
sztuje.

Z poważaniem  
J. BIERNAT

du. W trakcie gry spowodowany  
przez żołnierza, wdaje się z nim w  
bójkę. Zamknięty w więzieniu, zosta  
je przypadkiem uwolniony przez ban  
de cangaceiros, którzy przybyli oswo  
bodzić jednego ze swoich. Cangaceiros  
chcą, by ojciec przyłączył się do nich.  
On jednak odmawia, postanawia wró  
cić do rodziny i pracy. Nie wie, że  
w międzyczasie trawa wokół domu  
wyschła, i że wędrówkę trzeba pod  
jąć znowu.

Jakże Dos Santos interpretuje ten  
pełen rezygnacji gest ojca? Dla mnie  
ma on wyraz podobny wyrazowi na  
szych rzezanym w drewnie ludowych  
świętków. Pan-Jezusików po chiopsku  
sfrasowanych, smutnych, gdyż bezsil  
nych.

Nie waham się powiedzieć, że za  
równo tematem, jak sposobem jego  
przedstawienia „Susza” wypływa z  
impulsu rodzającego twórczość ludową.  
Interesuje się troską najbardziej pod  
stawową, nieskomplikowaną i będącą  
udziałem wszystkich ludzi, zdobywaniem  
środków do życia. O trudnościach mó  
wi bez patosu i nawet bez współczu  
cia. Nie kryje cierpienia, ale i nie obra  
ża cierpiących litością, bądź ubolewa  
niem nad ich losem. Dlatego jest po  
ich stronie. Będąc z nimi, zachowuje

jako dzieło artystyczne spokój ludzi,  
dla których cierpienie i głód to co  
dziennność.

Bystre, ludowe spojrzenie na rze  
czy jest bohaterem ostatnio (1968) pro  
jektowanego filmu Dos Santosa pod  
francuskim tytułem „Comme il etait  
bon, mon petit Français” (Jak on był  
dobry, mój mały Francuzik). Tym ra  
zem chodzi o humor, o sprężoną z  
rozsądkiem ironię. W okresie inwazji  
francuskiej na Brazylię młody fran  
cuski żołnierz dostaje się do niewoli  
u Indian. Wszakże powodził mu się  
nieźle, uczy Indian francuskiego i  
wyszukanej francuskiej techniki wo  
jennej, za co wdzięczni uczniowie ob  
darzają go kobietą. W miarę postępu  
nauki osądza ją jednak, iż to zbyt  
mały dowód wdzięczności. Szacunek i  
zwyczaj nakazują, aby zjeść żołnie  
rzyka. I wnosząc po tytule Indianie  
zjedzą go pod koniec filmu.

Bo takiej pointy wymaga ludowa  
ocena rozwijanej przez Zachód w kra  
jach trzeciego świata idei „współpra  
cy kulturalnej”.

\* \* \*

„Jeśli był ktoś, kto miał na mnie  
bardzo wielki wpływ, tak na moją  
działalność filmową jak i na rozwój  
intelektualny, to był nim, jak sądzę,  
Nelson Perelra Dos Santos. Mimo, iż  
styl moich filmów jest zupełnie od  
mienny...”

Glauber Rocha nie mylił się, podkre  
ślając odmienność stylu swoich fil  
mów. Początek ze spraw Sertao i tak  
że, jak dzieła Dos Santosa, kształto  
wane zgodnie z duchem sztuki ludo  
wej, odstanają jej inne cechy i inne  
możliwości. Jeśli nastrojem „Suszy”  
Dos Santosa była jakby wyrozumia  
łość dla losu, a formę charakteryzo  
wała czystość wynikająca z wyrze  
czeń — Glauber Rocha wydobywa gnie  
wny bunt ludu środkami pozornie  
nieopanowanymi i brutalnymi, jak  
przemoc.

Pozory nieopanowania stwarza rwa  
ny rytm montażu i zapewne, jak na  
naszą wrażliwość — nadmiar obrazów  
mrojących krew w żyłach. To, co oka  
zywało się do zniesienia w słowach,  
okrutna treść ludowych legend i pie  
śni, szokuje wówczas, gdy materializ  
uje się przed oczyma. Potwierdza się  
stara prawda o różnicy między usły  
szeniem a zobaczeniem... Oglądamy  
więc obrazy, na pierwszy rzut oka  
oleodrukowe i nietaktowne, dopiero  
później przekonujemy się, że plama  
krwi to również symboliczny element  
kompozycji obrazu. I że rozłożeniem  
czterwójnych plam rządu wyczuć  
estetyczne, instynktowne i przez to  
nieomyślne.

Postać z Sertao wkraczają na  
ekran jako archetypy. Brazylijska spe  
cylitka otwiera film przed cangaceiros

i beates i każe, żeby Antonio-Smierć  
pełnił swoją powinność. Lecz ten o  
brońca chłopów jest nieustraszony i  
niezwyciężony, jak jego protoplaści,  
których rodowód sięga początków  
kultury, zaś wyzyskiwacze, wzorem  
wszystkich wyzyskiwaczy świata, mu  
szą zginąć.

Wizerunek filmowy ukazuje ich ja  
ko osoby zepsute i scherlale, bo we  
dług mądrości ludu zło przejawia się  
w rozpasaniu seksualnym i chorobie.  
Podobnie ugrupowania beatos składa  
ją się z kuternogów i bezrękich kalek,  
co znaczy, że i oni nie reprezentują  
żadnej siły konstruktywnej.

Konwencje, które ożywia Glauber  
Rocha — w filmach „Czarny Bog i  
biały diabeł” oraz „Antonio Das Mor  
tes” — są w swej najgłębszej istocie  
klasowe. Odpowiadają, konwencje i  
zachowujące je filmy, sformułowanej  
przez artystę „Estetyce gwałtu”.

„W Ameryce Łacińskiej głód jest  
samą istotą społeczeństwa. Kulturę na  
szą możemy nazwać kulturą głodu. W  
tym tkwi tragiczna oryginalność cina  
ma novo, na tle kinematografii świa  
towej; nasza oryginalność — to nasz  
głód, jest on naszą największą plagą,  
odczuwaną, ale nie rozumianą.

My jednak rozumiemy ją, wiemy,  
że jej zlikwidowanie zależy... od na  
szej kultury głodu, która podkopie i  
zwyższy istniejące struktury społecz  
ne. A najbardziej autentyczną mani  
festacją kultury głodu jest gwałt”,  
(podkreśl. J. M.).

Ludowość nie jest czymś nowym w  
dziejach kina. Pojawiła się u zarania,  
ponieważ wyświetlane po jarmarkach  
najstarsze filmy pragnęły przypodo  
bać się swoim prostym i biednym wi  
dzom, i z upływem lat doprowadziła  
do wykształcenia swoistego gatunku  
westernu. Potem jednak ludowość za  
częła zanikać, rzecz paradoksalna tym  
szybciej, im bardziej masową sztuką  
stawał się film. Western kostniał lub  
ewoluował w mało krzepiący kierun  
ku. Odebrane kategoriom dobra i zła  
ich wyrazistość, podważano je, czynio  
no względny. Ale to już całkiem in  
na historia.”

\*) Materiał do niniejszego artykułu  
czerpałam z eseju Roberta Grelle  
ra „Stare i nowe kino Brazylii”,  
opublikowanego w „Les temps  
modernes”, październik 1967 i  
przedrukowanego w „KINIE” nr  
10/1968 w przekładzie Hanny Szy  
mańskiej.

# Jean Anouilh a nagroda

Światowa nagroda ufundowana przez wdowę po paryskim wydawcy Del Duca (gdzie wysłał m. in. „Lalka” Prusa) przypadła w tym roku dobrze w Polsce znanemu i stale u nas od 1936 roku grającemu komediopisarzowi, Jean Anouilhowi, autorowi „Pasazera bez bagażu”, „Skowronka”, „Nieposkromionej dziewczyny”, „Antygony”, „Becketa czy li honoru Boga”, „Jarmarku”. Jest to nagroda duża, 150.000 franków. Konkandydatami byli m. in. Romain i Glono. Anouilh wygrał przy tej okazji pierwsze w życiu przemówienie publiczne, tak się bowiem złożyło, że znakomity pisarz, a przy okazji także i reżyser, nigdy nie chciał i nie umiał wygłaszać odczytów, czy toastów. Jak wyznał dziennikarzom — uczynił to jednak obecnie bez tremy. Dodał, że pomogło mu dość wspaniałe, które niedawno przeżył. Grano jego sztukę „Grotę” w jego reżyserii. Wykonawcą głównej roli, Le Poulain, nagle zachorował. Nikt się nie mógł podjąć nagłego zastępstwa, ze względu na trudność pamięciowego opanowania wielkiej roli w krótkim czasie. Anouilh jako autor i reżyser oczywiście tekst znał. By nie sprawić zawodu widzom, podjął się więc tego zadania. Przeżywał nieludzkie niepokoje, gdy nagle, na kilkanaście minut przed spektaklem, Le Poulain mimo 40 stopni gorączki, przybył do teatru i zdecydował się wystąpić. „Tak przeżyłem niepokoje debiutu... nie zaznawszy go” — dodał Anouilh.

Przewodniczący jury na grody Del Duca, Marcel Achard, powiedział do laureata: „Dziękujemy Anouilhowi za to, że pokazał nam w swych sztukach takich, jakimi jesteśmy my, łagodząc to naszymi śmiesznościami, a obciążając je ponurą poezją naszych złych uczynków”. (wn)

ELŻBIETA LUKASIEWICZ

## Twórczość LESZKA RÓZGI

Pierwsza nagroda uzyskana na Ogólnopolskiej Wystawie Grafiki (Warszawa listopad—grudzień 69) uczyniła zagadnienie twórczości Leszka Różgi na nowo aktualnym.

Satisfakcja ze zwycięstwa łódzkiego grafika jest niewątpliwie, zważywszy, że konfrontacja „osiągnięć” odbywała się w warunkach silnej konkurencji: prace swoje prezentowało stu kilkudziesięciu autorów z wielu ośrodków krajowych, zaś wśród nich znakomitości tej miary, co Gliński, Srzednicki, Chrostowska, Panek, Fijałkowski czy Kondek.

Twórczość graficzną i malarską Różgi na przestrzeni lat analizowało wielu krytyków i recenzentów. Aktywność twórcza, bogata działalność wystawiennicza kwalifikują go do wąskiego kręgu artystów, o których wspomina się często, nieustannie ewoluowanie założeń artystycznych sprawia, iż trzeba mówić wciąż inaczej. Bezpośrednią przyczyną tej naturalnej przemiany są tzw. życiowe przypadki i odkrycia oraz związane z nimi refleksje. Owa bogata warstwa przemysłań ujęta w swoisty system, semantyczny, stanowi rodzaj dziennika życiowego artysty.

Na początku był szereg studiów „honorujących naturę”, które stanowiły plastyczną propozycję ujęcia problemu obrony ludzkiej autonomii przed zewnętrzną ingerencją. Studium „Kaktusa” na przykład jest metaforą niezwykle aktualnego dziś konfliktu człowieka z uniformizmem i standardyzacją współczesnego życia.

Był to rodzaj prologu, po którym nastąpił cykl miejskich pejzaży: „Rudery”, melancholijne, zastygłe w bezruchu wizje łódzkich przedmieść są liryczną refleksją po ety nad przemianami czasu, nieuchronnym oddalaniem się w przeszłość. Wspomnienia i wyobrażenia stanowią główną kanwę tej sztuki, wyobrażenia na kształt gąbki nasyczone obrazami minionych przeżyć,

nadaje tym pracom kształt bardzo sugestywny i zarazem niezwykle. Tytuły poszczególnych pozycji cyklu — „Samotne miasteczko”, „Podwórko”, „Miasteczko emerytów” — są rodzajem klucza szyfrowego, umożliwiającego penetrację ich zawartości literackiej. Narracyjność i czytelność fabuły i komunikatywność formalna, to dalsze cechy tego okresu. Jednakże w równoległych „Reliktach” i nieco późniejszych „Bezmiarach” odnajdujemy już nieco inny klimat artystyczny — dominuje tu nastrój niepokoju z licznymi, coraz liczniejszymi akcentami autentycznego tragizmu.

„Spieen”, „Konary”, „Biotyp” to wstrząsające obrazy cmentarzysk ludzkich, ponure widoki życia biologicznego; szarości przechodzą tu w czernie, linie stają się coraz bardziej nerwowe i dramatyczne.

W poetyckim świecie akwafort Różgi pojawia się niepokój i chaos, poprzez umiejętne operowanie zespołem form linearnych artysta akcentuje narastający dramatyzm. Śnią raffenland z aluzjami semantyczno-nastrojowymi zmienia się w wizję tragiczną o rzadko spotykanej sile wewnętrznej napięcia. „Agresje” i „Przenikania” konsekwentnie rozwijają sygnalizowane u przedniości, a typ wyobraźni, jaki prezentuje tu artysta, ma osobliwy charakter. Przedstawia wizje jakichś koszmarnych światów, współczesne apokalipsy o wstrząsającej wymowie.

Kompozycja łączy się często z dwu lub trzech części, które tworzą pełną fabułę grafiki. Drastyczny montaż realii, brutalne skojarzenia: ludzkie ciało potraktowane i dealistycznie i w chwili zagła-

dy, gdy to pokurczone członki topnieją w jakichś dalekich od człowieczeństwa formach biologicznych. Jest to osobliwa danse macabre, degeneracja i obłąkanie.

Mimo niewątpliwych ekspresjonistyczno-surrealnych konsekwencji, błądem wydaje się tropienie w tej sztuce ścisłych związków z modnym teraz „biologizmem”, czy ekspresjonistyczną abstrakcją. O wyborze formy decyduje tu przede wszystkim nakaz etyczny. Bo też cała twórczość Różgi ma charakter antropocentryczny — z docieklivością obserwuje on człowieka, jego uwikłanie w komplikacje świata i życia, kierunek ewoluowania społeczeństw ludzkich. „Maligna”, „Zmory”, „Ucieczki nie będzie”, tworzą okrutne obrazy stratanego człowieczeństwa i stanowią groźne memento dla poczynań współczesnych. Panuje tu klimat totalnego zagrożenia, nastrojów zbiorowego szaleństwa.

Serie ekspresjonistycznych studiów wzbudzają zaufanie zaangażowaniem i autentycznością przeżyć i refleksji, dostrzegamy tu jakąś powagę artysty, prezentującego swą sztukę.

Specyficzną cechą techniki Różgi jest czystość i precyzja; wyrafinowane metafory, pomimo prerażających treści, są plastycznie lekkie i finezyjne. Lecz na skutek zwiększającego się wciąż balastu emocjonalnego, zauważyć można dążność do wzbogacenia tkaniny obrazu, do łączenia konwencji i stylizacji na rzecz wielomowności i patosu. Zapelniają się nowe karty dziennika podróży.

### Książki nadesłane przez Wydawnictwo PAX

- „Dialog i współdziałanie”, cena zł 22.
- Jerzy Łojek, „Dzieje pięknej bitynki”, cena zł 55.
- Aleksander Jełowicki, „Moje wspomnienia”, cena zł 60.
- Jan Gawroński, „Do źródeł muz”, cena zł 30.
- Jan Łysakowski, „Synowie”, cena zł 18.
- William Golding, „Siła bezwładu”, cena zł 25.
- Wanda Pawlik, „Ciąg dal szczy pisać Kofi”, cena zł 20.
- Françoise Mallet-Joris, „Kłamstwa”, cena zł 25.
- Zdzisław Łączkowski, „Gad”, cena zł 20.

## O FILMACH DOBRZE I ŹLE

**O** „OKNA CZASU”... straconego. Albo „Okna nudy”. Można dowoli trawestować tytuł i kpić sobie z tego węgierskiego filmu, próby science fiction, która niestety nie wnośi nic nowego, ani do naszych rozmyślań, ani do wyobrażeń. Tuż przed obejrzeniem „Okien czasu” przeczytałem artykuł o seksualizmie w literaturze, z którego wynika, iż ta drażliwa problematyka ma rację bytu wówczas, kiedy autor zmiernia do odsłonięcia jakichś głębszych prawd o człowieku. Natomiast seksualizm opisywany dla efektów czysto zewnętrznych staje się pornografią. Artykuł nieodparcie kojarzy mi się z „Oknami czasu”: jak nazwać science fiction, która epatuje nowoczesnością wystroju pomieszczeń i rozrzuconym bogactwem guzików uruchamiających automaty, lecz myślowo jest miłą, powtarza wytarte schematy, frazesy i komunały?

Sprawa wygląda tym gorzej, że scenarzyści „Okien czasu”, Kuczka i Karel, sięgnęli po temat dziś już realny i nasycony rzeczywistymi konfliktami. Jak wiadomo, w Stanach Zjednoczonych istnieje już kilka przedsiębiorstw zajmujących się hibernacją osób, bądź nieuleczalnie chorych, bądź przez zaawansowaną starość skazanych na

śmierć. Osoby te spodziewają się dożyć w stanie zamrożenia czasów, w których medycyna potrafi zaradzić ich chorobie lub wiekowi. Konflikt rodzi się stąd, iż ta szansa na nieśmiertelność jest przedmiotem handlu, zasoby finansowe różniące ludzi równie bezkrotnie niż za grobem, jak w życiu.

W „Oknach czasu” — nie z tych rzeczy. Nie ma problemu i konfliktu, wskutek tego nie ma dramatu. Wątlutka akcja wlecze się powoli, pięciu aktorów przypadkowo zdehibernizowanych przez jaszczurkę (owa przypadkowość to też banał) przypomina kukły i wygląda drętwie dialogi. Oprócz frazesów o życiu, którego „nie warto kochać”, gdyż przynosi same rozczarowania”, zawierają one banały o odpowiedzialności uczonych — które z tematem hibernacji akurat się nie wiążą i od których trzeszczy w uszach. Są to, niezbyt w tym filmie a propos — dzieśnięte popłuczyny po wypowiedziach Oppenheimera, Einsteina, Joliot-Curie.

W „Oknach czasu” reż. Tamasa Fejera pokazują się dwie polskie aktorki, Beata Tyszkiewicz i Krystyna Mikołajewska. Moim zdaniem wystarczy popatrzeć na fotosy naszych pań w witrynie przed kinem.

**I** NNA polska aktorka, Barbara Brylaska, nie tylko pokazuje się, ale nawet gra i więcej — jest jedyłą sympatyczną postacią w NRD-owskim filmie pt. „BIAŁE WILKI”. Wbrew rozlicznym pozorom, jak umiejscowienie akcji na amerykańskim Dzia-

kim Zachodzie w czasie historycznie ściśle określonym (co jest zbędne i do czego powrócę), wbrew saloonowym rekwizytom i obecności Indian — nie jest to western. Miłośnicy westernu wprędce zresztą upewnią się, iż nie otrzymali nawet falsyfikatu, który w mnie budziłby sympatię przez pletzym dla pierwowzoru. Mamy do czynienia z przebraniem westernowym w dość podłym gatunku, które raz po raz świeci dziurami i zdradza, że zarówno scenarzysta, Günter Karl, jak i reżyser, Konrad Petzold są bardzo dalecy od zrozumienia istoty westernu. Dla przykładu, w prawdziwym westernie, sprawy materialne w zasadzie nie istnieją. Wyciągnięcie przez bohatera zapasowej kuszki z juków napawa nas zdumieniem, gdyż przywykliśmy, że ten jeździec — tropiciel bądź siewca — na ogół nie posiada niczego (pod tym względem charakterystyka pozytywnego i negatywnego bohatera westernu jest jednakowa). W „Białych wilkach” przeciwnie, szeryf dysponuje szafami z odzieżą... Podobnie w autentycznym westernie nie występuje, ani u dobrych ani u złych, upodobanie do jada. Bohaterowie zadowolają się piłem, tu natomiast obżerają się lako-mie. Dzięki lekceważeniu dla spraw materialnych western-autentyk w swym najlepszym wydaniu wznosi się nad naturalistyczną przyziemność. Potrafi wyrosnąć na opowieść symboliczną, wierny wskazaniu Indian, które głosi: „Nie miej nic, a wtedy duchy przyjdą do ciebie” i przylegający do spostrzeżenia Bazina, według którego „negowanie historycznych przesłanek

westernu byłoby takim samym błędem, jak kwestionowanie jego pełnej niezależności od historii”.

Co ważniejsze jednak, w westernie-autentyku wykształcił się pewien rytuał umierania. Polega on na zatarciu realnych cech śmierci. Śmierć jest faktem umownym, z reguły następuje natychmiast, i ani widzą za pośrednictwem kamery, ani pozostali przy życiu bohaterowie westernu nie przyglądają się zmarłemu. Westernową śmierć można nazwać pokonaniem jednego z uczestników. Obrazowo wyraża ją znieuchomienie postaci, którą kamery — przez swoją delikatność, lub jeśli wolicie obojętność — nie zajmuje się więcej. W „Białych wilkach” nie oszczędzono nam obrazów przedśmiertnych drgawek oraz obrazów poprzedzającego je bicia: metodycznie, brutalnie, po chamsku. Bicia, w którym jak w chuligańskiej rozróbie liczy się przede wszystkim siła, nie zaś celność zrzędnego ciosu.

Ziy smak, ciężki naturalizm i nieumiejtność opowiadania (scenarzysta zamiast rozwinąć dobrze jeden temat, mnoży mechanicznie wątki, z których nie nie wynika) — oto, co ofiarują nam nadmiarze „Białe wilki”. „Białe wilki” stają w jednym szeregu z produkowanymi od kilku lat głównie w Włoszech filmami awanturniczymi, które z westernu biorą wyłącznie rekwizyty i odmiennie niż western prawdziwy — odwołują się do sadystycznych instynktów widza.

ZASTĘPCA



# Kto, co, kiedy?

relacje  
niedyskrecje

## MUZEUW WIKTORA VASARELY'EGO

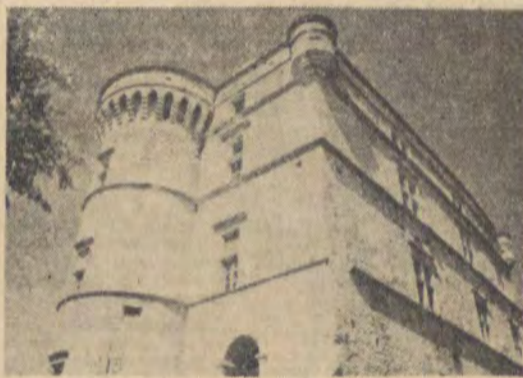
Około trzech miesięcy temu pisaliśmy na tym miejscu o Wiktorze Vasarelym, francuskim artyście pochodzenia węgierskiego, z okazji wystawy paryskiej jego dzieł. Ostatnio prasa francuska zamieszcza obszerny raport o powstającym muzeum w Gordes w Francji, ja kie Vasarely urządził w zamku w departamencie Vaucluse w historycznej krainie Francji, w pięknym i górzystym krajobrazie Prowansji.

Celowo, pisząc o Vasarelym, unikamy słowa „malarz” gdyż artysta uważający się za wybitnego przedstawiciela sztuki nowoczesnej i posługujący się w swej twórczości najnowszymi zdobyciami techniki (np. komputerami) nie chce aby go zwano malarzem, lecz plastykiem. Vasarely, jak wiadomo, tworzy dzieła oparte na złudzeniach optycznych. To co od dawna znane było w psychologii (normalny ruch gałek ocznych wywołuje u człowieka wrażenie pozornego ruchu elementów przy oglądaniu niektórych geometrycznych

sta nazwał swą sztukę kinetyczną, Ruch to jednak pozorny i dla odróżnienia od dzieł w których elementy poruszają się rzeczywiście, dla obrazów Vasarely'ego przyjęła się nazwa op-artu sztuki optycznej.

Władze w Vaucluse powierzyły artyście stary zamek w Gordes pozwalając mu tam urządzić swoje muzeum pod warunkiem, że zabytek zostanie odrestaurowany. Wiktor Vasarely odnowił starą budywalę, a dla muzeum przeznaczył dwa górne piętra, gdzie specjalne aparaty, po naciśnięciu guzika, ukazu-

ją piękna. Trzeba więc, wien- dzi Vasarely, rozwiązać w sposób artystyczny otoczenie w którym bytuje czło- wiek. Marzą się artyście nowoczesne miasta, fabryki, domy przyozdobione wielkimi, ściennymi kom- pozycjami. Mimo tak no- woczesnego stosunku do- twórczości, Vasarely za- chowuje wiele pietyzmu dla starych dzieł sztuki i historii. Obok zamku w Gordes ustawił szereg tzw „borles” — domków wzniesionych z płaskich kamieni, w jakich mieszka- li przedhistoryczni pa- sterze. W tych domkach będą mieszkać i pracować



Zamek w Gordes, w którym Vasarely urządził swoje muzeum.

młodzi artyści poszukują- cy nowych rozwiązań w sztuce, a przebywający w zamierzonej fundacji Vasarely'ego tzw. „Centrałi poszukiwań artystycznych”. Artyści ci będą mieli możliwość komunika- wania się z komputerami w Los Angeles przy roz- wiązywaniu swych zagad- nień twórczych. Przypom- niśmy, że Vasarely wybrał ostatnio dwanaście pre- styżnych form geometrycz- nych i dwanaście barw, a mózg elektroniczny ma wy- konać wszystkie warianty układów i kombinacji tych elementów.

**TANIEC DERWISZÓW**  
Specyficzny to balet, któ- ry gości obecnie w Paryżu występując w Theatre de

la Ville. Nie jest to wła- ściwie grupa baletowa lecz grupa derwiszów w wieku od lat 14 do 70. Przybyli oni ze Stambułu do Pa- ryża, aby pokazać swe tańce rytualne. Członko- wie grupy są mnichami, lecz nie prowadzą życia klasztornego choć związa- ni są z klasztorem w Konya w Anatolii. Należą do starej sekty muzumi- skiej, która powstała jesz- cze w XIV wieku. Choć są derwiszami mogą się żenić i prowadzić normal- ne życie, niektórzy z nich zajmują ważne stanowiska w swoim kraju.

W swych dziwnych tań- cach rytualnych odzwier- ciedlają obrót planet dookoła słońca. Tancerz wyciąga prawą rękę w górę, w kierunku słońca co imitować ma przyjęto- wanie dobrodziejstwa tej gwiazdy. Lewa ręka, od serca, zwraca się ku do- łowi, ku ziemi w geście hojności. Oczy tancerzy skierowane ku górze, wpa- trzone są w prawą otwartą dłoń. W ten sposób tan- cerz chroni się od zawro- tu głowy. Lewa noga jest punktem oparcia dla całej go ciała podczas gdy noga prawa tancerza zgina się w ten sposób by ciało na- dać ruch kołysania. Ważne przy tym by lewa stopa nie przesuwiała się, toteż aby się w tym tańcu wy- ćwiczyć, początkujący tan- cerze trzymają między pal- cami nóg wbity w podio- gę gwóźdź. W ten sposób po pewnym czasie obraca- ją się wokół swej własnej osi, a ich długie białe szar- ty unoszą się w tym wi- rowym ruchu. Dziwny ta- niec derwiszów odbywa się przy akompaniamencie fu- jarek, cytr, bębnów i cymbałów. Ten dość mo- notonny, dziwny dla euro- pejskiego widza obrzęd ta- nieczny, nie wywołuje jed- nak u tancerzy ani stanu hipnozy ani utraty świad- ości. Przeciwnie zasada- jest aby derwisz zachował jasny stan umysłu.

Sekta, której przedstawi- cielem tańczy teraz w Pa- ryżu została uznana za nie- legalną za Atatürka w roku 1923, ale obecnie ruch tej sekty derwiszów za- częł się odnawiać. Prasa francuska podkreśla, że ciekawy jest związek filo-

zofii sekty z jakąś bliżej nieokreśloną religią kos- mogoniczną.

## ALEKSANDER TWARDOWSKI ODZNACZONY ORDEREM CZERWONEGO SZTANDARU

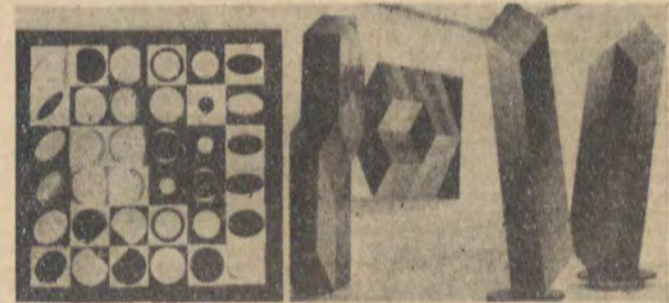
Z okazji swego 60-lecia Aleksander Twardowski, wybitny poeta radziecki został odznaczony, dekretem Prezydium Najwyższej Rady ZSRR, orderem Czerwonego Sztandaru za zasługi w rozwoju poezji radzieckiej.

Aleksander Trifonowicz Twardowski urodził się w roku 1910 w Zagorie koło Smoleńska w rodzinie wiejskiego kowala. Debiu- tował jako dziennikarz w prasie smoleńskiej. Roz- głosił i uznanie przyni- osił mu jego poemat o życiu radzieckiej wsi pt. „Strana Mura- wija” (Kraj Mrówek) wy- dany w roku 1936. W la- tach wojny Twardowski był korespondentem wo- jennym. Poematem o lo- sach żołnierza frontowego, ludowego bohatera jest „Wasyl Piorkin”. Dziełem tym zdobył Twardowski wielką popularność. Tema- tykę wojenną zawarł tak- że poeta w dziele „Dom przy drodze”. W latach 1950-1960 napisał poemat filozoficzny pt. „Za dala”.

Aleksander Twardowski, uważany za wybitnego przedstawiciela poezji tra- dycyjnej, po mistrzowsku posługuje się w swej twó- rzości swobodną gawędą poetycką, elementami fan- tacji i folkloru. Kilkakrot- nie otrzymywał nagrody państwowe.

## ROK DICKENSA

Sto lat temu w czer- wcu zmarł wybitny powie- ściopisarz angielski, przed- stawiciel realizmu krytycz- nego w Anglii, Charles Dickens (pseud. Boz). W bieżącym roku, który An- glicy nazwali rokiem Dic- kensa, ukazuje się w druku kilka nowych opracowań poświęconych życiu i twór- czości wielkiego pisarza. I tak ukazać ma się m. in. trzytomowy zbiór nie- publikowanych dotąd pism Dickensa oraz praca G. Smitha pt. „Dickens, społeczeństwo i pienią- dz”.



Kompozycje Vasarely'ego.

oraz zestawień barwnych). Vasarely wykorzystuje w sposób artystyczny. Pa- trząc na jego obrazy do- poznajemy wrażenia jakby poszczególne elementy znajdowały się w stałym ruchu. Dlatego też arty-

sta kolejno 240 obrazów Vasarely'ego.

Artysta wychodzi z za- łożenia, że industrializacja i postęp techniczny odsu- wają człowieka od dzikiej, pierwotnej przyrody i jej



## Książka dla nauczycieli

**KOLA NAUKOWE W ŁÓ- CZY NIE ELITA- RYZM? — POŁOWICZNE ROZWIĄZANIE — SYGNA- LIZUJE PROBLEM — 500 EGZEMPLARZY — DLA CHĄCĄCEGO NIC TRUDNE GO.**

W tych dniach ukazał się bardzo ciekawy zbiór „Studiów i Materiałów” wydany przez Związek Nauczycielstwa Polskiego w Łodzi i Ośrodek Meto- dyczny. Przeczytaliśmy ów ponad 100-stronicowy to- miki i ogarnęły mnie tzw. uczucia mieszane. Otóż już na drugiej stronie wpa- dał mi w oko cyferka — nakład 800 egzemplarzy. Jakże więc zachęcał nauczycieli do zapoznania się z tym pożytecznym opra- cowaniem skoro na parę tysięcy pedagogów taki ma- ly nakład? Mogę więc tyl- ko pisać o ciekawej pro- blematyce sygnalizowanej w „Studiach i Materia- łach” zachęcać do... detek- tywistycznych penetracji (w sam raz na lato) w poszukiwaniu cennej ksią- żeczki ZNP i Ośrodka Me- todycznego.

A warto do tej książki dotrzeć. Jest w niej m.

in. bardzo ciekawa roz- prawka Henryka Kona- rzewskiego na temat orga- nizacji pracy kół nauko- wych w liceach ogólnok- kształcących. Wiadomo, że ostatnio przyszła moda tzw. zajęć fakultatyw- nych. Wciąż się o nich słyszy od znanych nau- czycieli — mają być po- noć znakomitym ulepsze- niem realizacji naszego niezbyt znakomitego pro- gramu nauczania. Hen- ryk Konarzewski pisze o- koło naukowych, a więc o szkolnej instytucji ma- jącej już swoje lata. I wy- daje się, że ma rację au- tor podnosząc walory te- go właśnie starego syste- mu pracy dydaktyczno- wy chowawczej współczesnej szkoły.

Bo chyba nie jest słusz- na koncepcja szkoły czy klasy specjalnej dla uczo- niów wybitnie zdolnych. Oczywiście na pierwszy rzut oka jest to koncepcja bardzo pożądana i pozornie rozwiązująca wiele proble- mów. Ale przecież szkoła (klasa) specjalna kryje w sobie niebezpieczeństwo e- litaryzmu, grozi poważny- mi wypaczeniami wychowawczymi z racji oderwa-

nia i odizolowania mło- dzieży utalentowanej od naturalnego środowiska rówieśników. Przyczynia się wreszcie — pisze Ko- narzewski — do osłabe- nia i zubożenia innych or- ganizmów szkolnych, kosz- tem których kompletuje się zarówno zespół uc- czniowski jak i nauczycie- li.

To przykre, ale taka jest prawda. Staniemy na skraju wielu niebezpie- czeństw. W doświadczeniu nie sprawdzono przecież do- końca „normalnego” pro- gramu liceum — zakłada- jącego owe zajęcia fakul- tywne które są modą ostat- nich miesięcy.

A poza tym problematy- ka jest sprawą motywacji wyboru przez ucznia (a często przez rodziców) o- kreślonej specjalności, do której się czuje „powołan- ny” lub „uzdolniony”.

Tak czy owak — kon- kluduje autor — dotych- czasowe koncepcje z góry, niejako przesądzają po- łowicze rozwiązanie decy- dujących współcześnie pro- blemów szkoły ogólnok- kształcącej. I tu Konar- zewski wyklada swoje a- tuty, które brzmią bar- dzo przekonująco.

Otóż prezentuje nam kon- cepcję szkoły z rozbudowa- nymi zajęciami kół nauki wych. Przewaga tej kon- cepcji nad innymi propo- zycjami organizacyjnymi nowo- cześniejszej ogólnokształ- cącej wyraża się przede

wszystkim w tym, że szko- ła taka poprzez organiza- cję pracy kół ma realne możliwości świadomego roz- wiania i kształtowania za- interesowań, zamkowań i uzdolnień całej mło- dzieży. Unikną się w ten sposób tych wszystkich na- cisków, snobistycznych cią- gotek i ambicjonalnych wpływów, taka koncepcja wolna jest od lokalnych przymusowych sytuacji „szkół sprofilowanych”. Odpada cały administracyj- ny sztafaż „lepszych” klas i szkół.

Praca ucznia w wybra- nym bez nacisku kole, pra- ca nie „zagrożona” tra- dycyjną szkolną oceną — daje szkole ogromną szan- sę poznania autentycznych uzdolnień i możliwości ucznia. W ten sposób szko- ła ma realne możliwości zapewnić na drodze naj- bardziej demokratycznej selekcji zainteresowań — szeroki dopływ kandyda- tów na wysoką kwalifika- cyjną ocenę i wybranie w- nych pracowników róż- norodnych specjalności, kandydatów nacechowa- nych głębokim przekonani- em prawidłowego wybo- ru oraz autentycznym za- angażowaniem.

Przemawia mi do prze- konania ta koncepcja i prze- mawia do przekonania ar- gumentacja Henryka Kona- rzewskiego. Być może in- ni pedagodzy — praktycy- mogliby przedstawić tu swoje kontrargumenty — może takie głosy przynie-

sie kolejny zeszyt „Stu- diów i Materiałów”. Sy- gnalizuję jednak problem przy okazji ciekawego wy- dawnictwa ZNP i Ośrodka Metodycznego w Łodzi w nadziei, że ta cenna pu- blikacja w kolach róż- nych pedagogów nie przejdzie bez echa.

Bo przecież zawiera ona także szereg innych ciekawych rozprawek, choć- by Zbigniewa Błaszczyka o potrzebie i formach pra- cy z młodzieżą wybijają- cą się w szkole podstawo- wej (podobny problem), jak choćby praca Haliny Zielińskiej-Jodkowskiej o kontaktach społecznych uczniów jako formie wy- chowania obywatelskiego.

Słowem — ten cenny zbiór studiów o dużej war- tości praktycznej dla nau- czycieli wart jest polecenia. Dodam jeszcze na ko- niec, że Komitetowi Re- dakcyjnemu przewodzą: Wi- told Dembowski i Tadeusz Podwysocki, że w skła- dzie Komitetu widnieją na- zwiska pedagogów i nau- kowców. Trochę tylko martwi mnie ten mały na- kład publikacji, która po- winna dotrzeć do rąk wszystkich nauczycieli. Ale dla chcącego nie trud- nego — w każdym razie chętnych kierując do O- krogowego Ośrodka Me- todycznego w Łodzi.

JERZY WIDOK

# Bez strachu Puste ręce

Pewnego dnia, z pozoru podobnego do innych dni, szedłem ulicą kamienną, zgiełkliwą, zadymioną. Szedłem pozornie tak, jak chadzałem w inne dni, tak samo stawiałem nogi, spoglądałem na przechod- nów, na samochody, mus- katem wzrokiem wysta- wy. A przecież coś się zmieniło, odczuwałem spo- kojne przeznaczenie siebie, czy świata? Mojego świa- ta, czy wspólnego świata wszystkich ludzi? Była to przemiana równie żywo od- czuwalna jak nieokreślona przedmiotowo, przyczyno- wo, miła raczej w nastro- ju. Czulem, że ten nowy, pomyślny stan nie potrwa długo i zamiast się cieszyć nim i cieszyć, zacząłem się analizą, refleksją — dia- częgo, skąd ta fala znako- mitego samopoczucia? Nie pragnąłem ślepego, bez- widnego poczucia szczę- ścia, wolałem świadomą u- drękę. Czy dzisiaj kogoś miłego spotkałem? Czy ktoś dał mi upragnioną o- bietnicę? Powoli usuwa- lem możliwe przyczyny — ko- ło, zaciętność, wiedzę, do- działem już, że przyczyna nie jest nowe posiadanie czegośkolwiek, lecz nowy, niezmany brak, ubytek, któ- rego dawno bezwidnie pragnąłem. Myślałem na- wet o własnych butach, o odzieży, począłem my- śleć o ciele i wiedzy na- tychmiast odnalazłem przy- czynę. Rece! Oczywiście mam dzisiaj puste ręce, re- ce zupełnie wolne... Nie mogłem sobie przypom- nieć chwili, w której szed- liem z rękami zupełnie pustymi, zupełnie wolny- mi... Trzymałem w rękach teczkę, książkę, zeszyt, pa- rasol, paczkę starannie za- pakowaną i przedmiot na- gi domagający się papiere- i sznur. Nosilem rzeczy świadczące o moim rzekomych wielkim známe- niu, a także takie, które rzekomo mnie ponizali, rzeczy potrzebne i rzeczy ozdobne, a zatem także po- trzebne, rzeczy tęciutkie i ciężkie, kiedy noszenie sta- wało się dźwiganiem. Nie tylko idąc miałem zajęte ręce, także siedząc, także leżąc, także w czasie snu miętosłem kódrę, prag- nąc ująć niedostępne w fizycznej przestrzeni frag- menty snu. Gdyby ktoś powiedział, że jednak u- przednio wiele razy oglą- dałem moje ręce puste i wol- ne — nie wierzył mi — w takich chwilach ścisła- lem jedną ręką drugą, bądź każdą z poszczegól- nych rąk trwała w spa- zmetycznym skurczu. Po- woli zbliżył się ktoś zna- jomy, podał mi rękę, dał mi coś do ręki... Znowu ścisłałem, znowu nosilem, zanikało przyjemne poczucie pustych, wolnych rąk. A przecież opłacił się wy- silek myślowy, dociekanie nad przyczyną przeżytej przyjemności. Od tej chwili będę mógł niekiedy, na kilka minut, nie brać nie- do ręki, rozprześć ręce, wzbudzać w sobie miłe po- czucie, że są całkowicie puste i wolne i to poczu- cie wyda się wędrować wzdłuż rąk przez całe cia- ło. Widocznie długo nosi- lem ciężary ponad swoje- siły, co gorzej długo sta- rałem się ująć rzeczy nie- stągane. Potrzebne mi mo- nety zupełnej, bezdennej przerwy w tych zbiegach. Przez moment trzeba „być inaczej”, „być gdzie in- dziej”. A moment ten mo- żna osiągnąć na pewno wieloma sposobami — naj- prostszym wydaje się sy- tuacja dłoni zupełnie pu- stych i rozluźnionych, do- stępnych tylko dla powie- wia powietrza, pulsującej krwi i szczęśliwej myśli.

BERNARD SZTAJNERT

K. KARENIN

# SPRAWA DZIENNIKA GUEVARY

(Opowieść dokumentalna)

W październiku 1967 roku w wawozie Ywro, na południowym wschodzie Boliwii, został rozbity oddział partyzancki na którego czele stał wybitny latyno-amerykański rewolucjonista, znany działacz rewolucji kubańskiej Ernesto Che Guevara. Następnego dnia ranny Guevara został bestialsko zamordowany w pomieszczeniu szkoły osiedla Iguera.

W czerwcu 1968 roku w Hawanie ukazał się „Dziennik Che z Boliwii” opowiadający o jego 11-miesięcznej partyzanckiej walce z granicą w rejonie chilijskiego miasta Iquique przeszedł niewygodnie krępy około 40-letni mężczyzna, który nazywał siebie ministrem spraw zagranicznych Boliwii Antonio Arguedasem. Stwierdził, że jest agentem CIA i że właśnie on, decydując się jak powieścić, na zawsze zerwał z „złowroczą bandą, która knuła spisek przeciw ludzkości”, przesłał kopie dziennika Ernesto Che Guevary do Hawany. Po niedługim obycie za granicą (w Santiago, Londynie Nowym Jorku i Limie) Antonio Arguedas podał decyzję dobrowolnego powrotu do Boliwii i stancji przed sądem. Jako były minister powinien go być sędzią tylko Narodowy Kongres ale w Boliwii okazało się że Antonio Arguedas stał przed Wzwyższym Krajowym Trybunałem Wojskowym.

Sensacyjny proces byłego ministra spraw zagranicznych i byłego agenta CIA był szeroko komentowany przez całą światową prasę. Proces odbywał się przy drzwiach zamkniętych i wykluczając się wzięliście komentarze zagranicznych burżuazyjnych dziennikarzy były przepalone różnego rodzaju do myślni i zmyślniami. Prawde o sprawie Arguedasa nabełnie mógłby wyrazić dokumenty sądowne, ale powtarzamy: proces odbył się przy drzwiach zamkniętych. Niezależnie w ręce pewnego bolwijskiego dziennikarza dostała się kopia wszystkich dokumentów sprawy Arguedasa — około 250 fotokopii, które zawierała cztery zeznania świadków szesćdziesiąt cztery inne dokumenty. Wszystkie te dokumenty nie wzbudziła najmniejszej wątpliwości co do ich autentyczności. Gazety szeregu latyno-amerykańskich krajów niedawno ochosły, żeś w swoim nianych materiałów.

I oto przed nami tecka ze Sprawa Arguedasa.

REPUBLIKA BOLIWII — WYŻSZY TRYBUNAŁ WOJSKOWY.

Sprawa: karna przeciwko ka bitanowi rezerwy Antonio Arguedasowi Mendiheta.

Za przestępstwo: za różne przestępstwa.

W składzie: prokurator wojskowy pułkownik Alberto Jordán Bilbao sędzia śledczy pułkownik Jose Nava Morales, sekretarz major Humberto Troche W.

Rok: 1968

## Z ROZKAZU GŁÓWNO-DOWODZĄCEGO SILAMI ZBROJNYMI BOLIWI

12 lipca 1968 roku

„Na podstawie sankcji prezydenta Republiki wyznaczam sędzię śledczego... w celu ustalenia i wyśledzenia możliwych zaniedbań i przestępstw dokonanych w związku z zaborem, wykorzystaniem i ochroną dokumentów, dotyczących antypartyzanckich działań na południowym wschodzie kraju w 1967 roku.”

Dalej następuje tekst przysięgi członków Trybunału Wojskowego.

## Z ZEZNAŃ ŚWIADKA, DOWÓDCY 9 DYWIZJI, PLK. JOAKINA CENTENO

19 lipca 1968 roku.

Pytanie: Gdzie pan znajdował się w dniu wzięcia do niewoli Che Guevary i jakie środki zostały podjęte przez państwa?

Odpowiedź: 8 października otrzymałem doniesienie o powstaniu partyzantów, o stratach i o tym że w wawozie Ywro został schwytywany Che Guevara i inni skierowaliśmy tam o godzinie 15 helikopter... 9 października o 6:30 przybyłem na lotnisko w Walegrandzie, żeby polecić w rejon Iguera, a także do Ywro w celu wzięcia udziału w działaniach bojowych. W tym momencie zwrócił się do mnie kpt. Felix Ramos i poprosił o pozwolenie na towarzyszenie mi, ponieważ, jak powie dział, on osobiście znał Che Guevara co ułatwiłoby identyfikację i ewentualne przesłuchanie Che Guevary...

Pytanie: Proszę powiedzieć wszystko co pan wie o dokumentach a szczególnie o dzienniku Guevary, zabranych od rannych i zabitych w boju w wawozie Ywro.

Odpowiedź: Kiedy przybyłem do Iguera to z raportów oficerów z batalionu „reinjerów” dowiedziałem się, że w domu miejscowego telefonisty, Hidalgo znajduje się pięć rannych partyzantów, a także zdobyte plecak, materiały i dokumenty. Ponieważ bitwa w wawozie Ywro przedłużała się, zdecydowałem skierować się tam, nie zdążywszy poznać się z treścią zdobytych dokumentów i materiałów... Kiedy wróciłem do Iguera, na podwórku domu telefonisty Hidalgo zobaczyłem kapitana Felixa Ramosa fotografującego czterech rannych, który okazał się dziennikiem Che Guevary. Następnie w pomieszczeniu szkoły Iguera obejrzałem zabitych nieprzyjaciół, wśród których znajdował się również Che Guevara. Zabrałem dziennik Che Guevary tego karabin i wróciłem śmigłowcem do Walegrandu Tam przekazałem dziennik głównodowodzącemu siłami zbrojnymi Republiki... Później dowiedziałem się, że przedstawiciele ambasady amerykańskiej wysłali fotokopie dziennika Che Guevary do Republiki, głównodowodzącemu oraz mnie. Jednakże ten ostatni egzemplarz został zatrzymany przez dowódcę sił zbrojnych i w ten sposób nie otrzymałem kopii dziennika Che Guevary.

Pytanie: Z czyjego rozkazu i w jakim celu kpt. Ramos fotografował wspomniany dziennik?

Odpowiedź: Żadnego rozkazu nie wydano i Ramos fotografował dziennik z własnej inicjatywy... Ramos oraz kpt. Edwardo Gonzales mieli dostęp do materiałów naszych dochodzeń.

Pytanie: Kto z agentów służby wywiadowczej USA znajdował się w rejonie działań bojowych?

Odpowiedź: 8 sierpnia odwiedził mnie koordynator amerykańskiej służby wywiadowczej William Cowhan, który oddał pod moją komendę kpt. Felixa Ramosa i Edwardo Gonzalesa... Ramos i Gonzales początkowo kierowali szkoleniem antypartyzanckiego wywiadu w Santa Cruz a od 25 września weszli do mojego sztabu w rejonie działań partyzanckich w Walegrandzie. Na te koncesje, jak mi powiedział Cowhan, Ramos i Gonzales istniało porozumienie na wysokim szczeblu.

Pytanie: Dlaczego nie przedsięwzięto środków ochrony fotomateriałów otrzymanych przez fotografowanie dziennika Guevary?

Odpowiedź: Z tego powodu że wszystkie te materiały, jak się dowiedziałem, były skierowane bezpośrednio do Waszyngtonu. Nawet były wywołane nie przez Ramosa tylko przez specjalistów w Waszyngtonie.”

## Z ZEZNAŃ ŚWIADKA ARNALDO SAWCEDO NACZELNIKA II (ZWIADOWCZEGO) ODDZIAŁU 8 DYWIZJI

22 lipca 1968 roku.

Pytanie: Od jakiego czasu i z czyjego rozkazu agenci CIA, Gonzales Ramos i Garcia koordynowali swoją pracę wywiadowczą z dowódcą 8 dywizji?

Odpowiedź: 8 maja 1967 roku

Gonzales został mi przedstawiony osobiście przez naczelnika II oddziału komendy głównej dik. Federico Arana w charakterze specjalisty od przesłuchań. Razem z nim przesiadkiwałem De bresa oraz Boustosa... W czerwcu został do nas skierowany w charakterze instruktorów „reinjerów”. Amerykanie kubańskiego pochodzenia: Felix Ramos i Edwardo Gonzales. Byli oni zaopatrzeni w oficerskie świadectwa armii bolwijskiej i posiadali rekomendację prezydenta Republiki. Obaj weszli w skład grupy której działaniem w Santa Cruz koordynował Willy Cowhan i od tego czasu mieli dostęp do wszystkich materiałów dwuzł.

Pytanie: Jakże przedsięwzięto środki dla kontrolowania działalności wspomnianych osób?

Odpowiedź: We wszystkich działaniach przeciwko partyzantom szeroko z nimi współpracowaliśmy ponieważ orientowaliśmy się że służą oni Stanom Zjednoczonym, krajowi, który jest naszym sojusznikiem w walce przeciwko partyzantom.

Pytanie: Kto pierwszy rozpoczął dokumentami zabranymi od zabitych w wawozie Ywro?

Odpowiedź: Był to kapitan Prado, Garli Prado. Odebrał on dokumenty od żołnierzy, którzy zabrali je wziętym do niewoli oraz zabitym

Pytanie: Kto fotografował dokumenty w czwili obecności, gdzie, kiedy i w przeciągu jakiego czasu?

Odpowiedź: Fotografował Felix Ramos 9 października o 7:30 do 11:30 w iguera. Tam również znajdował się plk. Joakin Centeno ppik, Anders Celich, kpt. Garli Prado...

Pytanie: Chciałby pan może cokolwiek dodać?

Odpowiedź: Tak. Znajdujący się w rejonie działań bojowych agenci CIA wykonal ważną pracę. Pragnę dodatkowo zaznaczyć że oni dostarczyli nam fotografie działających w tym rejonie partyzantów, przekazali ich rysunki i w ten sposób pozwolili nam wiedzieć wszystko, co było potrzebne do ich ujęcia.

## Z ZEZNAŃ ŚWIADKA HERBERTO OLMOZA PODPUŁKOWNIKA SZTABU GENERALNEGO

23 lipca 1968 roku.

Pytanie: Co wie pan o wydaniu przez wyższe dowództwo oficerskich świadectw agentom CIA Gonzalesowi, Ramosowi i Garcii?

Odpowiedź: Dwie pierwsze osoby poznałem w wojskowej bazie w Esperanza jako instruktorów II pułku „reinjerów”. Gracie zplem jako konsultanta ministerstwa spraw wewnętrznych. Wiedziałem że również w Walegrandzie kiedy identyfikował zwłoki Guevary.”

## Z ZEZNAŃ PPLK. MIGUELA AHOROA ZASTĘPCY DOWÓDCY BATALIONU „REINJERÓW”

22 lipca 1968 roku

Pytanie: Co panu wiadomo o

wydanie przez wyższe dowództwo agentom CIA, Gonzalesowi, Ramosowi i Garcii zaświadczeń stwierdzających, że są kapitanami armii bolwijskiej?

Odpowiedź: Nie orientuję się w dokumentach tego rodzaju. W naszym batalionie razem z doradcami amerykańskiej armii służyli przez niedługi czas kpt. Gonzales i kpt. Ramos. Wykładał on na kursie dla zwładowców, w czym są specjalistami. O ile zrozumiałem, ich stopnie wojskowe odpowiadały tym, które mieli w armii amerykańskiej.”

## Z ZEZNAŃ ŚWIADKA MOISESA VASQUEZA OFICERA KONTRWYWIADU

23 lipca 1968 roku

Pytanie: Co panu wiadomo o odebranych bandytom (w ten sposób członkowie trybunału wojskowego zaczynają nazywać partyzantów — przypisek autora) dokumentach, a w szczególności o dzienniku Guevary, przekazanych agentowi CIA Ramosowi?

Odpowiedź: Z Ramosem poznałem się w czasie mojej podróży do Santa Cruz wraz z technicznym konsultantem ministerstwa spraw wewnętrznych, Gabrielem Garcią. Powiedział mi, że Ramos jest jednym z najwybitniejszych ekspertów amerykańskiej służby wywiadowczej. Rozporządzałem wiadomościami, że Ramos odfotografował dziennik Che Guevary po wzięciu do niewoli. Zdjęć było bardzo dużo i zostały wysłane do Waszyngtonu.

Pytanie: Kiedy pan odwiedził rejon działań bojowych wraz z jedną z wspomnianych osób, czy jej działalność nie wzbudziła pańskich podejrzeń?

Odpowiedź: Naturalnie, od tego momentu, gdy się dowiedziałem, że ci ludzie służą w wywiadzie obcego państwa, wszelka ich działalność stała się podejrzana. Zajmując się pracą w kontrwywiadzie naszej armii ustaliłem, że wszelka informacja ministerstwa spraw wewnętrznych, przedtem jeszcze, nim dochodzi do wywiadowczego oddziału armii, jest kierowana do ambasady amerykańskiej przez współpracownika Centralnego Urzędu Wywiadowczego Stanów Zjednoczonych, kpt. Hugo Marray. Ta informacja została udzielona przez jego agentów, zatrudnionych w ministerstwie spraw wewnętrznych... Nocą wskazała do

kumentacji znajdowała się w ministerstwie pod zamknięciem do którego kluczy posiadał agent Garcia.”

## Z ZEZNAŃ PLK. FEDERICO ARANA NACZELNIKA WYDZIAŁU WYWIADOWCZEGO NACZELNEGO DOWÓDZTWA

25 lipca 1968 roku

Pytanie: Która z osób, nie mająca żadnych związków z naszymi, albo zagranicznymi siłami zbrojnymi, miała dostęp do dziennika Guevary i innych dokumentów?

Odpowiedź: General Juan Torrez w imieniu głównodowodzącego siłami zbrojnymi Republiki rozkazał oddziałowi wywiadowczemu naczelnego dowództwa pokazać dokumenty należące do partyzantów przedstawicielom wydawnictw północnoamerykańskich. Widocznie w owym czasie w zamiarach naczelnego dowództwa leżała sprawa tych dokumentów jakiegokolwiek zagranicznemu wydawcy. Wyowiedziałem się o niechęci łowić znaniamiana osób postronnych z dokumentami, ponieważ niektóre z nich były tajne. Jednakże general Juan Torrez odpowiedział mi dokładnie tak: „Każdy towar, który chcą kupić, przede wszystkim należy pokazać.”

W toku intensywnego śledztwa od 19 do 25 lipca 1968 roku przez słuchano dziewięciu świadków. Wojskowy trybunał śpieszył się ze względu na napiętą sytuację polityczną w Bolwii. 22 czerwca w kraju został wprowadzony stan wyjątkowy w związku z masowymi rozruchami górników, a w trzy dni później nastąpił kryzys rządowy. Badając świadków członkowie trybunału wojskowego ani razu nie wymienił nazwiska Antonio Arguedasa. Następni świadkowie w jego sprawie zostali przesłuchani dopiero po upływie dwóch i pół miesiąca. Można więc do myślenia się, że ten okres został wykorzystany dla „rozpracowania” Arguedasa, które, wnioskując z jego wyjaśnień, okazało się bezcelowe.

(dn)

PRZEŁOŻYŁ K. F.

\* Francuski i argentyński dziennikarz. Obaj skazani zostali przez władze bolwijskie na długoletnie więzienie za udział w ruchu partyzanckim.

## W następnym numerze „ODGŁOSÓW”:

- ♦ Jan Koprowski — Cybernetyka i św. Antoni
- ♦ Jan Łoboda — Reportaż teatralny
- ♦ Jolanta Mach — Do zobaczenia, dzieńtemeni! oraz felietony, recenzje, nowele.



## Lewym okiem

SZESZCIOŁATKA

W związku z zamieszczeniem niedawno w „Odgłosach” artykule Bogdy Madęj o anonimach, czytelnik naszego tygodnika, podpisany „Pik”, napisał w liście do redakcji, również zresztą opublikowanym: „Nie mogę i nie potępiam wszystkich anonimów, gdyż musiałbym na przykład potępić i Hamiltona, i KTT, i... Cwieka. Przecież wymienieni felietoniści są także anonimowi, nie dla redakcji, ale dla czytelników”.

Sympatyczny pan „Pik” uczynił w stronę Cwieka parę ciepłych aluzji, za co dziękuję, ale przecież pseudonim to nie to samo, co anonim. Nie można być anonimem „dla kogoś”, a dla kogo innego — nie być. Anonim to facet plujący zza płotu. Taki, co naciśnie dzwonek i wieje, w przekonaniu, że nikt go nigdy nie nakryje; ktoś przekonany, że nigdy nie będzie musiał słychać słów udowadniać, ani ponosić za nie odpowiedzialności. Nie jestem i nigdy nie zamierzam być w takiej sytuacji. Łatwo mnie znaleźć i pociągnąć, jeśli zajdzie potrzeba.

A oto zabieram głos na tym miejscu po raz trzeciśsetny Trzysta felietonów to jest z górą sześć lat, tydzień w tydzień, z jedną przerwą — bo poczta nie zdążyła przez osiem dni przewieźć

koperty z tekstem z Dolnego Śląska do Łodzi, i z drugą przerwą — bo temat gotowego już felietonu nagle się z dnia na dzień zdezaktualizował, a nie było nic w zapasie. Przerwy urlopowych i chorobowych nie było.

Sześć lat to, oczywiście, bardzo mało i nie dziwię się, że łódzka prasa nie zdążyła zauważyć upartego felietonisty i jego mrówczej krzątaniny koło spraw, interesujących chyba tylko jego samego, (przepraszam, dawno temu zauważył „Dziennik Łódzki”, ale tego wołę nie pamiętać). Natomiast dużą satysfakcję sprawia świadomość posiadania kogoś bardzo podobnie myślącego i czującego w samej Stolicy. Proszę bardzo: pisałem w marcu 1968 roku o felietonach Ilowieckiego w „Polityce”, że traktują postępowo techniczny z pozycji katastroficznych, pesymistycznych, — w odróżnieniu od Winawera, który w swych przedwojennych „Muszlach na wybrzeżu” widział w postępie technicznym zapowiedź samego raju na ziemi. Felietonista „Życia Warszawy”, Kopański, napisał w parę miesięcy później to samo, o tym samym Ilowieckim i Winawerze. Podśmiawałem się w czerwcu 1969 roku z przesadnego puryzmu językowego niektórych osób, przytaczając parę śmiesznych cytatów z ogromnie rzadkiej, wyszperanej w antykwariacie książeczki J. Bliźnińskiego „Barbarzyńcy i dzwoliąg językowe” z 1888 roku, Kopański w „Życiu Warszawy” z 1 czerwca bież. roku czyni to samo i nawet podaje śmieszne cytaty z tej samej — ogromnie rzadkiej, powiadam — książeczki. Takich przykładów silnego pokrewieństwa duchowego było jeszcze trochę, choć, oczywiście, warszawski publicysta nie czytuje „Odgłosów”, bo

po co? Przecież gdyby czytał, to by coś o tym wspomniał! Natomiast Cwiek czytuje „Życie Warszawy” i już kilka razy cytował Kopańskiego.

Poza tym miło nam wspomnieć, że zostaliśmy (pluralis majestatis) zauważeni przez pismo Zrzeszenia Studentów Polskich i.t.d.. Pisałem mianowicie o żenującym kręgu zainteresowań i poziomie wypowiedzi studentów, stanowiących krąg czytelników tego tygodnika i piszących listy do redakcji. Przytaczałem te listy. Ale okazało się, że nie miałem racji, jak zwykle. Szanowna Redakcja pod wytwornym i dowcipnym tytułem „Cwiek w mózgu” wyjaśniła jak komu dobru, że żaden z cytowanych przeze mnie listów, nie był listem od studenta, że wobec tego Cwiek „demonstruje oryginalną metodę badawczą”, że „od razu pismo mu się nie podoba, studentci też nie”, i że „jego własne pismo — „Odgłosy” — zatrują czytelników szmiruowymi kryminałami, w których ilość idiotycznych sytuacji” — itd.

Rzeczywiście, błędem było przypuścić, że pismo studentów czytują i korespondują z nim studentami, a nie, jak się okazało, przedszkolaki. Błędów takich postaramy się uniknąć, nie pisząc zbyt często o „I t. d.”, bo już i czasu nie staje. Zaś co do „Odgłosowych” kryminałów oświadczam skromnie, że bardzo bym chciał umieć takie pisać, ale nie umiem i nie piszę.

Calej reszcie przemilych, acz nieznanym Czytelników dziękuję za sześciolletnią milczącą aprobata niniejszego kącika i polecam się nadal życzyliwej obojętności.

CWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlch (dział publicystyki), Roman Łoboda (kier. działu literackiego), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępcza redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa” w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefon: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6 zł, kwartalnie 18 zł. Redakcja nie zamawia rękopisów nie zwraca. Prenumerata przyjmuje wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy”. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa”, Łódź, ul. Żwirki 17 Zam. 1406. H-10.